

GŁOS

Prenumerata w Warszawie:

Rocznie Rs. 7 kop. —
Półrocznie „ 3 „ 50
Kwartalnie „ 1 „ 75
Miesięcznie „ — „ 60

Za odosłowanie do domu
dopłaca się kop. 5 mies.

Za zmianę adresu dopłaca
się kop. 20.

Cena pojedynczego nu-
meru bez dodatku k. 20.

Prenumerata na Prowincyi
i w Cesarstwie:

Rocznie Rs. 9 kop. —
Półrocznie „ 4 „ 50
Kwartalnie „ 2 „ 25

Za Granicą:

Rocznie . . . 12 guld.—18 m.
Półrocznie . 6 „ 9 „

Ogłoszenia przyjmuje kan-
tor Redakcyi po kop. 10 za
wiersz petitowy lub za je-
go miejsce. Reklamy po
kop. 25.

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNO-POLITYCZNY.

Wychodzi co Sobota.

REDAKCYJA i ADMINISTRACYJA
BRACKA Nr. 25.

Co kwartał dodaje się bezpłatnie jeden
zeszyt dzieł naukowych.

TREŚĆ: Przemiany polityczne, przez J. L. Popławskiego.

Huxley o kwestyi aryjskiej.

Doktryneryzm w kłopotcie, przez J. H. Siemienieckiego.
Z dziedziny psychologii.

Bez obłudy, przez Maryjana Bohusza.

Głosy: Sprawa o nadużyciach w muzeum staje się istotnie
głośną.—Regulacja Wisły.—Nasze kobiety sprzedawane do
Ameryki.—„Konkurs zamknięty“.

Z kraju, przez J. Nieborskiego.

Listy ze wsi, przez W. K. Szczęsną.

Przegląd społeczny: Z Łomżyńskiego, Garwolin, Mława,
Chelm, Wilno, Grodno, Petersburg, Mińsk gub., Kraków,
Lwów.

Przegląd polityczny.

Kronika literacka.

Kronika powszechna.

Odpowiedzi od redakcyi.

Ogłoszenia.

Odcinek: Franciszek Grzelak, przez Anielę Milewską.
(Ciąg dalszy).

W dodatku: Z zakutego grodu, przez Kazimierza Glińskiego.
(Ciąg dalszy).

Od redakcyi.

Szanownych prenumeratorów kwartalnych prosimy o wczesne odnawianie przedpłaty.

PRZEMIANY POLITYCZNE.

Znamiennym a prawie powszechnym objawem chwili dzisiejszej jest rozpadanie się dotychczasowych stronnictw i powstawanie nowych kierunków, a raczej nowych grup politycznych.

Nie mówię tu o wystąpieniu tych nowych stronnictw, które przedstawiają dążenia i interesy warstw, dotychczas w życiu politycznym nie przyjmujących bezpośredniego udziału. To inna sprawa, o której oddzielnie należałoby pomówić. Zresztą stronnictwa te, z wyjątkiem demokracji socyjnalnej w Niemczech, nigdzie jeszcze nie odgrywają poważniejszej roli politycznej w znaczeniu powszechnie przyjętem, nie posiadają wpływu na bieg spraw państwowych, jakkolwiek mogą na nie pośrednio oddziaływać, jeżeli już stanowią świadomy i zorganizowany czynnik społeczny. Dzisiaj zaznaczyć chcemy jedynie proces rozkładu tych stronnictw, które względnie dosyć już dawno na widowni politycznej działają. Te przeobrażenia, jakim ulegają, te nowe ugrupowania, zespalaające rozpro-

szone odłamki starych obozów, są właściwie próbą innej kombinacji tych samych w gruncie rzeczy dążeń i interesów, stosownie do zmienionych warunków politycznych i społecznych.

Dzisiejsze stronnictwa polityczne przedstawiają albo interesy klas, nie powiem uprzywilejowanych, ale politycznie uprawnionych w państwie współczesnym, albo interesy i dążenia narodowościowe tam, gdzie ludność państwa nie jest jednolitą, albo wreszcie—co już dziś rzadko się zdarzać powinno, a jednak istnieje—interesy wyznaniowe i religijne. Dodam tu znowu, że nie mam tu na myśli tych prądów narodowych, które ujawniły się dopiero w ostatnich czasach w formie mniej lub więcej świadomych dążeń, i chociaż mogą mieć w przyszłości, obecnie nie mają większego znaczenia politycznego.

Nawet w kraju tradycyi politycznej—Anglii widzimy objawy tego przekształcania się stronnictw. Obok dwóch głównych partyj istnieje tam już trzeci wpływowy odłam polityczny—stronnictwo t. zw. unionistów, czyli właściwie centralistów liberalnych—w przeciwstawieniu do starych liberałów autonomistów. Oprócz tego poważną siłę posiada stronnictwo radykalne, a niewątpliwie zdobędzie wkrótce znaczenie stronnictwo socyjaldemokratyczne.

We Francyi, pomimo że proces niwelacyi klasowej postąpił tam może najdalej, dostrzegamy również ciągłe usiłowania wytworzenia nowych stronnictw. Bulanżyzm był nieudaną próbą zjednoczenia odpadających od różnych stronnictw grup luźnych. Obecnie odbywają się znowu próby wytworzenia stronnictwa republikańsko-katolików i zachowawców republikańskich, partyje zaś monarchiczne ulegają procesowi rozkładu.

Ostatnie wybory w Austrii stwierdzają wymownie nasze zdanie.

Dosyć powiedzieć, że Niemcy austrijacy posiadają obecnie aż 9 stronnictw, trzy zaś z nich noszą charakter antysemitki. W Galicyi nawet widoczną jest pewna fermentacja polityczna, która doprowadzić musi do nowego ugrupowania a raczej rozłam stronnictw, chociaż zasada solidarnej obrony interesów narodowych proces ten powstrzymuje. Nie powstrzymała go jednak w Czechach, gdzie nastąpiła nagła a stanowcza zmiana kierunków politycznych wraz z próbą zjednoczenia w stronnictwie młodoczeskim kilku oddzielnych dotychczas prądów (realiści, panslawiści i przedstawiciele partyi włościańskiej obok właściwych młodo-czechów).

To samo znajdujemy w Niemczech. Zanim jednak dotkniemy tych stosunków zaznaczyć musimy jeden jeszcze wzgląd dość ważny w danym wypadku.

Przeważnie, wskutek odbywającego się przeobrażenia stosunków i ugrupowań politycznych, oraz wskutek okoliczności ubocznych (jak np. wpływy etyki zewnętrznej, politycy, którzy trzymali dotychczas ster spraw państwowych, wybitni przedstawiciele dotychczasowych stronnictw parlamentarnych, schodzą ze sceny. Los ten spotkał i tych mężów stanu, którzy, jak np. Bismarck, do żadnego obozu nie należeli, ale swą działalność polityczną opierali na kombinacjach istniejących stronnictw i kierunków. To samo niejednego z dzisiejszych wybitnych działaczy politycznych w blizkiej przyszłości czeka.

Tymczasem nowe stronnictwa nie mają i mieć nie mogą jeszcze wybitnych przywódców, ani nie stanowią grup wyraźnych, bo znajdują się dopiero w okresie przygotowawczym. Okoliczność ta niezmiernie utrudnia rządowi nie tylko wybór ludzi, ale i wybór odpowiedniej taktyki politycznej. Pomimo kaprysów osobistych tem głównie objaśniać należy ciągłe zmiany, jakich dokonywa cesarz Wilhelm, wybierając sobie coraz to nowych doradców i ministrów.

Wewnętrzna polityka niemiecka w ciągu ostatniego roku była jedną próbą przystosowania się do mało widocznej jeszcze ale niewątpliwie w blizkiej przyszłości zmiany w charakterze stronnictw. Widzieliśmy fakt nader ciekawy: politykę rządu popierali z jednej strony skrajni zachowawcy oraz katolicy, z drugiej—wolnomyślni. Co więcej, demokraci socyjalni zajęli stanowisko wyczekujące, rząd zaś przez czas jakiś okazywał względem nich dążności pojednawcze, cesarz niemiecki zaś osobiście dosyć wyraźnie przechylał się na stronę klasy robotniczej.

Z drugiej strony w opozycyi przeciw rządowi znalazły się stronnictwa liberalne i umiarkowane—zachowawcze, chociaż otwarcie tego nie wyraziły. Rozumie się, polityka tego rodzaju nie może być trwałą, ale w danych warunkach była ona bodaj najodpowiedniejszą.

Ugrupowanie nowe stronnictw, zarówno wskutek rozkładu jak i przeobrażenia się istniejących, wkrótce już powinno nastąpić. W ostatnich czasach stronnictwo katolickie, czyli t. zw. centrum, zbliżyło się do rządu, i mówiono nawet, że korona na niem głównie oprzeć się zamierza. Stronnictwo to straciło właści-

wie racyję bytu z chwilą pojednania państwa z kościołem katolickim, a trzymało się solidarnie dotychczas głównie siłą rutyny politycznej oraz osobistym wpływem swego przywódcy, Windhorsta, który właściwie stworzył „centrum” ze zlepek różnorodnych żywiołów opozycyjnych. Wytrawny szermierz polityczny i zręczny organizator umiał Windhorst nietylko zespolic sprzeczne nieraz grupy, ale i kierować tym amalgamatem śmiało i sprawnie. Centrum składało się przynajmniej z siedmiu czy ośmiu grup odrębnych, które jednak działały zazwyczaj zgodnie. Windhorst, którego osobistość była niejako cementem łączącym te różniczne kierunki, umarł właśnie w chwili, kiedy po załatwieniu ostatecznym różnych spraw praktycznych stronnictwo centrum traciło grunt pod nogami. Wprawdzie przez czas jakiś istnieć ono jeszcze może nawet w dotychczasowym składzie, zwłaszcza jeśli zostanie stronnictwem rządowym, ale wkrótce rozpadać się zacznie i przeobrazić. Niewątpliwie główny jego korpus pozostanie, jako stronnictwo klerykalno-katolickie, ale będzie to już zmianą roli i zmianą charakteru dotychczasowego.

Współczesne stronnictwa polityczne kształtują się niewątpliwie na podstawie odrębnych interesów różnych klas społecznych, bo nawet stronnictwa narodowe zmieniają zasadniczo swój charakter, stosownie do przeobrażeń odbywających się w łonie tych społeczeństw, których autonomiczne dążenia wyrażają. Ale współczesny ustrój klasowy jest bardzo złożoną kombinacją różnorodnych grup społecznych, zawikłaną gmatwaną sprzecznych interesów ekonomicznych.

Wreszcie dodać jeszcze trzeba oddziaływanie polityki zewnętrznej. Wszystkie te czynniki ulegają stałym lub stopniowym zmianom, coraz inaczej układają się warunki polityczne, proces rozwoju ekonomicznego posuwa się i wpływa w znacznej mierze na powstawanie lub zanik odpowiednich kształtowań społecznych. Wszystko to razem wzięte wywołuje konieczność nowego grupowania

interesów i dążeń, powstawania nowych stronnictw. W danej chwili proces rozkładu starych stronnictw jest prawie powszechny, ale próby wytworzenia nowych, bardziej odpowiadających warunkom rzeczywistości, kombinacji politycznych dopiero się zaczynają. Niektóre z tych prób jednak zarysowują się już wyraźnie, inne kryją jeszcze w mglistej pomroce swe kształty, ale wzrastający wpływ świadomości w zakresie spraw społecznych pozwala przypuszczać, że w blizkiej już przyszłości oglądać będziemy nową zupełnie organizację stronnictw politycznych.

J. L. Popławski.

Huxley o kwestyi aryjskiej.

I.

Przed kilku miesiącami zdawaliśmy na tem miejscu sprawę z książki Izaaka Taylora o „Pochodzeniu Aryjczyków”. Obecnie zapoznamy czytelników z pracą Huxley'a, zamieszczoną w dwu zeszytach angielskiego miesięcznika *Ninetieth Century*, a roztrząsającą ten sam przedmiot ze stanowiska wyłącznie prawie przyrodniczego.

Autor zaznacza na wstępie, że armija szermierzy naukowych składa się z dwu oddziałów: korpusu głównego i lekkich hufców podjazdowych; pierwszy posuwa się z wolna i nie ustępuje nigdy ani cala raz zdobytej ziemi, — drugie, staczając utarczki pomniejsze, osłaniając i ułatwiając pochód armii głównej, walczą orężem bardzo skutecznym, jakkolwiek niezawsze wykonanym dokładnie: naukową wyobraźnią. Widząc niekiedy porażkę ich, publiczność szersza uważa ją za przegraną zastępu głównego. Należyte jednak zrozumienie sprawy nie pozwoliłoby nam tracić zaufania do nauki z przyczyny niepowodzeń jej odważnych, lecz częstokroć lekkomyślnych partyzantów. Stosuje się to również do kwestyi aryjskiej. To, co działająca na podstawie ścisłych metod nauka zdążyła tutaj wyświecić i wykazać, pozostanie zdobyczą jej na zawsze; ale zbyt pośpieszne sądy, hipotezy, opierające się na niedostatecznej liczbie danych naukowych, a kuszące pomimo to badaczy, którzy dopomagali sobie „naukową wyobraźnią”, ustępować mu-

nauczyć się później, kiedy będzie mądrzejszy, a teraz on jeszcze głupi, nie chce słuchać ojca, jako lada kto mu w głowie zawróci a ja tego nie chcę z przeproszeniem wielmożnego pana, bo to czem skorupka za młodu się napoi, tem na starość trąci.

Mimo otrzymanej w ten sposób nagany, dziedzic uśmiechnął się zadowolony; w postępowaniu Franciszka widział bowiem owoc swych szczerych dążeń i długiej pracy. Pamiętam jego oblicze rozjaśnione, w chwili, kiedy wyszedłszy z pokoju zdarzenie to nam opowiedział.

Nadszedł rok 1864. Włościanie wsi M-na, wysłuchawszy w kościele obwieszczenia ukazu, czyniącego ich właścicielami ziemi, od danej na użytek, przyszli pod wodzą Franciszka (który był wtedy sołtysem) do dworu i zapytali wręcz, jak mają rozumieć usłyszane słowa i co wypada im czynić na razie.

Dziedzic odpowiedział:

— Niechaj wszystko zostanie po dawnemu. Tymczasem pracujcie tak, jak dawniej pracowaliście do tego czasu, dopóki rzecz nie będzie urzędownie wyświeconą. Przrzekam wam, że jeżelibyście z tego powodu mieli ponieść jakiegokolwiek straty, ja je wam zwrócę.

szą wobec innych hipotez i przypuszczeń, mających większy zasób faktów na swoje poparcie. Z ustępstw takich jednakże tylko ludzie ciemni mogliby wnioskować źle o samej nauce filologii albo antropologii. Cały ten wstęp potrzebnym był autorowi dlatego, że sam on postanowił spróbować w swej pracy, szczęścia partyzantów, sam pokusił się o hipotezę własną. Treść jej przedstawię tutaj, przytaczając w urywkach słowa autora.

Przed stu laty mniej więcej sir William Jones wykazał ściśle pokrewieństwo najgłówniejszych języków europejskich z sanskrytem, oraz z pochodniami tegoż narzeciami spółczesnymi. Jaśniejący sławą a pracowici filologowie rozszerzyli później i wzmocnili ten pogląd, aż wreszcie prawda, że Sanskryt, mowa zendzka, armeńska, grecka, łacińska, litewska, słowiańska, germańska, celtycka itd. pozostają względem siebie w stosunku jak gdyby potomków jednego pnia wspólnego, została należycie stwierdzoną i stanowi odtąd trwałą nabytek naszej wiedzy. Ale ściśle powinowactwo owych języków pozostanie faktem całkowicie niewytłumaczonym, jeśli się nie przypuści, że są to odmiany jakiejś pierwotnej, względnie nieodróżnionkowej mowy, tak samo jak niezrozumiałymi byłyby cechy biżkiego pokrewieństwa języków romańskich, gdyby nie było łaciny. Wniosek ten narzuca się nam w filologii z taką natarczywością, jak w biologii przypuszczenie egzystencji jakiegoś wspólnego przodka zróżniczkowanych ustrojów zwierzęcych i roślinnych. Skoro istniały pierwotne narzecza aryjskie, tedy musiał też egzystować kiedyś pierwotny lud aryjczyków, który się niemi posługiwał; nadto, musiał on przebywać gdzieś na powierzchni ziemi. Ztąd też filologija, nie zatrzymując się we własnych swoich granicach, a ulegając naciskowi spekulacyi, wysnuwa pojęcie już nie tylko języków aryjskich wogóle, oraz pierwotnego języka aryjskiego, ale nadto pierwotnego aryjskiego ludu i pierwotnej siedziby Aryjów, czyli jakiegoś zajmowanego przez nich kraju. Siedzibę tę umiejscowiono w dolinach Gangesu, z kąd roje Aryjczyków rozpraszać się miały po świecie. Jednakże postępy samej nawet filologii; mogą nam wskazać, że owa utarczka partyzantów, jakkolwiek świetna nie była, jednak dla nauki pożyteczna. Dowody, zawarte w Wedach, świadczą, że autorowie ich nie dosięgali Gangesu. Nadto z porównania mowy zendzkiej oraz sanskrytu okazało się, iż są to języki bratnie, pochodzące od wspólnego pnia Indo-Irańskiego, że więc hindusi i persowie muszą zapewne po-

I stało się tak. Ani jeden dzień roboczy nie został stracony w M-nie. W całej okolicy inaczej się działo: ludzie, usłyszawszy o zniesieniu pańszczyzny, lękali się wyjść na pole, aby im to nie było za złe poczytane, około inwentarza służba pokojowa kręcić się musiała. Zachowanie to wyjątkowe wsi M-na było także owocem chłopomaństwa dziedzica.

Zostawszy włościanem, jak się nazwali obdarowani, Franciszek nie odmienił w niczem obyczajów. Postarał się o krowy włożone do jarzma, sam orał, siał i sprzątał, nosił zawsze granatową sukmanę i baranią czapkę, choć inni przebierali się w palitony i w kaszkiety, kłaniał się do ziemi czapką, patrzył na świat spokojnie, a usta jego okolił dobrotliwy uśmiech.

Waśko doszedł do lat popisowych. Rodzice spokojnie o tem myśleli, bo od poboru chłopca ochraniało ciężkie kalectwo młodszego syna.

W chwili, kiedy płacz głośny matek rozlegał się dokoła, oni wyprawiali swojego swobodni, zupełnie spokojnie; nie przewidywali nieszczęścia, jakie okoliczność ta miała ściągnąć na ich głowy.

Nazajutrz powrócili do domu inni, należący do tejże kategorii, co Waśko, a na Waśka daremnie do późnej nocy czekano w cha-

FRANCISZEK GRZELAK.

Szkicowała

Aniela Milewska

(Dalszy ciąg).

Z pewnością wyrobił on je w Franciszku Grzelaku i w kilku jeszcze innych osobnikach szlachetniejszych, lecz większość a szczególnie młodzi potrzebowali twardszej ręki nad sobą, jeżeli nie bata lub kija, to przynajmniej kar pieniężnych. Łagodność pańska wyrabiała w młodzieniaszkach swawolę, której ojcowie własni tamy położyć nie umieli.

Pomimo rady Franciszka Grzelaka, złodzieje nie zostali ukarani cielesnie, dziedzic, przywoławszy obwinionych, wypowiedział im dużo słów pięknych o moralności, o godności ludzkiej, rozkazał pójść do kościoła, wyznać grzech przed kapłanem, uwierzył przyrzeczeniom poprawy i winę odpuścił. Franciszek nie podzielał tej wiary, poszedł znów do dworu, pokłonił się nisko i oświadczył stanowczo, że Waśka odbiera ze służby.

— Niech już będzie lepiej pod moim okiem — mówił; — roboty... toć prawda, że potrzebuje nauczyć się roboty, ale może jeszcze

chodząc również od jednego szczepu: przodkowie ich mieszkali zapewne na granicy pomiędzy dwoma ich krajami, a więc w obrębie dzisiejszego Turkiestanu, Afganistanu i t. p. Ale partyzanci naukowci, niezadowoleni z tego skromnego wywodu, umieścili Aryjów pierwotnych w łańcuchu górskim Hinduku, oraz na płaskowzgórzu Pamirskim, z kąd miały spadać na Europę roje celtyków, greko-rzymian, teutonów i słowian. Przed czterdziestu laty teoria Hinduku-Pamirska była prawie pewnikiem, pomimo napaści na nią tak wybitnego w swoim czasie ale niezrozumiałego zresztą pisarza, jak Robert Gordon Latham. Jedno czego zdołał on dowieść światu, to to, że lud aryjski, posługujący się mową indo-irańską, tak dobrze mógł przybyć z Europy, jak ludy, mówiące po grecku, celtycku albo teutońsku—z Azji. Dziś pogląd tego broni wielu uczonych, tak, iż jego przeciwnik najpoważniejszy Max Müller mówi już tylko, iż *przekonany* jest, że siedziba Aryjów pierwotnych była „gdzieś w Azji”. Dr. Schrader wypowiada się za Rosyją europejską, gdy tymczasem Penka rad byłby przynieść kolebkę Aryjów z dalekiego wschodu aż na... półwysep Skandynawski.

Jednakże, tak samo jak pomimo swego upowszechnienia nazwa „rasy łacińskiej”, nadawana ludom mówiącym romańskimi językami, jest niedorzecznością, tak też może być rzeczą równie błędną nazywanie „aryjską rasą” ludów, posługujących się pierwotnymi narzeczami aryjskimi i zajmujących niegdyś wspólną siedzibę. Nie masz dowodu, iżby jakakolwiek rasa nie mogła zastąpić własnego języka narzeczem obcym. Innymi słowy: wspólność języka nie jest dowodem jedności rasy, nie jest nawet wskazówką jej tożsamości.

Nasze pomniki historyczne ogarniają sobą tak mały skrawek czasu, tak drobną część przeszłości rodzaju ludzkiego, że pomoc ich jest bardzo nieznaczna. Pomimo to jednak sądzi autor, iż można byłoby z powodzeniem bronić dwu założeń następujących: 1) lud posługujący się „pierwotną mową aryjską” stanowił odrębną i ściśle określoną rasę ludzką; 2) obszar rozsiedlenia się tych ludów w czasach pierwotnych leżał raczej w Europie, nie zaś w Azji.

W ciągu ostatnich lat dwu tysięcy południowe pobrzeże Skandynawii i przeciwległe brzegi morza bałtyckiego zajmowane były przez ludność, której typowi przedstawiciele odznaczają się rosłą, mocną budową, cerą jasną, niebieskimi oczami, oraz złotym albo rudawym włosem—czyli są wybitnymi blondynami. Spotyka się ich często w Prusach wscho-

dnich, w północnej Belgii, we Francji północnej, niekiedy zaś w Anglii. Wszyscy oni są długogłowi. Gotowie, saksonowie, alemanowie, frankowie, gallowie, najjeżdżający Rzym i Grecyję pomiędzy I a II wiekiem przed Chrystusem, należeli również do tej samej rasy. Ale istnieją dowody, że obok nich tu i owdzie spozstrzega się pewien procent osobników krótkogłowych. W jakimkolwiek udamy się kierunku z owej siedziby pierwotnej, znajdziemy domieszki krótkogłowców, aż na koniec we Francji środkowej i dalej w Sabaudyi, Piemontcie—do zachodnich równin Włoch północnych *rosła długogłowa rasa blondynów* znika prawie zupełnie, ustępując miejsca niskim krótkogłowym brunetom.

Na południo-wschód od kolebki skandynawskiej—w ziemiach dawnej Rzeczypospolitej polskiej oraz w Finlandyi spozstrzegamy przewagę krótkogłowej, ale rosłej i jasnowłosej rasy. Z drugiej zaś strony—na dalekiej północy krótkogłowość łączy się z małym wzrostem, smagłością i rysami mniej lub więcej mongolskiego typu (lapończycy). Typ taki przeważa coraz bardziej, w miarę posuwania się ku wschodowi, wśród ludów Azji środkowej.

W ten sposób na rozważanej tu przestrzeni spozstrzegamy cztery odrębne rasy: 1) Jasnowłosych, rosłych długogłowców (główne siedziby: Skandynawija, Niemcy północne, po części wyspy Brytańskie). 2) Czarnowłosych, niskich krótkogłowców (Francja środkowa, górzyste okolice Europy środkowej, Piemont). 3) Czarnowłosych, niskich krótkogłowców mongolowatych (Wschodnia i podbiegunowa Europa, Azja środkowa). 4) Czarnowłosych, niskich długogłowców (zachodnia część Anglii i Francji, Hiszpanija, Włochy południowe).

Jasnowłosi długogłowcy Europy używali lub używają narzeczy: litewskich, teutońskich albo celtyckich; nie słysząc też, aby kiedykolwiek mówili jakimś innym językiem aryjskim. Znaczna część krótkogłowych brunetów posługiwała się kiedyś liguryjską i retyjską mową, która zalicza się do nie-aryjskich. Dalej, kiedy rzymianie gallów tranzalpejskich, mieszkańcy kraju leżącego pomiędzy Garonną a Sekwaną (*Celtion Cezara*) w większości przynajmniej, jak się zdaje, mówili po celtycku,—długogłowi bruneci Hiszpanii i Francji zachodniej posługiwali się prawdopodobnie mową nie-aryjską lecz euskaryjańską, której szczątki znajdujemy dziś jeszcze nad zatoką Biskajską.

¹⁾ Porównaj to z klasyfikacją Taylora. *Głos* NN. 18—20 z r. 1890.

cie Grzelaków. Zaniepokojony ojciec poszedł do miasta powiatowego dla dowiedzenia się, coby znaczyło to opóźnienie powrotu. Tam dowiedział się, że syna jego wywieziono wraz z rekrutami do miasta Łęczycy. Tkliwa jego natura została strasznie wstrząśniętą, uczuł zimno we wszystkich członkach i ściśnięcie w krtani. Nie zdołał przełknąć ani kawałka chleba, choć prawie był naczczko i przewędrował dwie mile drogi. Znekany na duchu, zmęczony cieleśnie powrócił do domu i zaraz też zaszedł do dworu po radę.

Dziedzic nie mógł zrozumieć faktu; przypuszczał, że musiała nastąpić pomyłka, sądził, że potrzeba, zabrawszy kalekę, jechać natychmiast do Łęczycy; ofiarował na ten cel swe konie.

Działo się to w miesiącu grudniu. Mrozy srożyły się.

Franciszek, wdzięczny za radę i za ofiarowaną pomoc, zaczął natychmiast wybierać się w drogę. Nie było czem kaleki otulić, ojciec odstąpił mu swojego kozucha, sam zaś puścił się w podróż daleką przyodziany tylko sukmaną.

— Zdrów jestem i przyzwyczajony do mrozu, to wytrzymam przecie—mówił.

Trafili właśnie na dzień wietrzny, zadylny, gorszy stokroć od mroźnej, cichej pogody. Grube płatki śniegu zasypywały oczy

i cały świat przysłaniały. Franciszek przed wyjazdem zaledwo zdołał przełknąć parę łyżek barszczu, nie czuł ani głodu, ani zimna, czuł tylko dotkliwy ciężar w piersi i gorzyc w ustach, a myśl, że mogą zapóźno przyjechać, że może Waśka pognano dalej, podrywała go z miejsca.

— Wosiu, nie zimno ci?—pytał co chwila syna, otulonego w ogromny kozuch i zagrzebanego w słomę.

— Zimno, zimno, tatusiu, — narzekał chłopak nieprzywykły do zawiei zimowych, bo nigdy na nic nie bywał wystawiony.

Ojciec wtedy zatrzymywał konie, otulał starannie kalekę, strząsał z niego płatki śniegu. Na popasie nie czuł także chęci do jada. Przyniósł Wosia do izby, kazał mu dać kawał chleba z serem i zagrzać piwa, wyprzął konie, zasypał im obroku, przyniósł wody do picia, a potem, usiadłszy przed piecem, próbował także przełknąć cokolwiek chleba. Przychodziło mu to z trudnością; zrywał się i z ust jego wyrwały się wykrzykniki:

— O la Boga! O Matko Boska!

Karczmarka odgadła, że gość jej jest mocno skłopotany, a rozmowna z natury, zapytała uprzejmie o przyczynę strapienia.

Franciszek czuł potrzebę zapełnienia czasu chociażby rozmową, opowiedział więc wszyst-

W Anglii, o ile wiadomo, używali oni mowy celtyckiej.

Jasnowłosi krótkogłowcy Polski i Rosyi zachodniej tworzą część ludu, który, ukazując się po raz pierwszy na widowni dziejowej, zajmował błotniste równiny, ograniczone, mniej więcej, Wisłą na zachodzie, Dzwina na północy, zaś Dnieprem i Bugiem na południu. Sąsiadom swym znanymi oni byli jako Wendowie, pomiędzy sobą zaś zwali się Serbami i Słowianami. Języki słowiańskie, jakimi mówiły te ludy, najbliższymi spokrewnione być mają z litewskim. Słowianie, z liczebnej przewagi krótkogłowców, podobnymi są do Niemców południowych, gdy tymczasem jasne włosy i cera oraz wzrost duży, co spotykamy w Polsce i Wielkorosyi, wyróżniają ich od niskich brunetów, napotykanych pospolicie gdzieindziej. Nie nie przeczy chyba przypuszczeniu, iż od bardzo dawnych już czasów ludy słowiańskie były rasą mieszaną. Kraj ich znajdował się pomiędzy rosłymi jasnowłosymi długogłowcami na północy, niskimi brunetami krótkogłowymi Europy na zachodzie, oraz takimi krótkogłowcami azyjatyckiego typu na Wschodzie; nadto w ciągu swych dziejów albo wciśkali się oni pomiędzy swych sąsiadów, albo też podlegali ich najazdom. Gallowie i Gotowie przeszli przez kraj ich, dążąc na zachód i południe. Ludy fińsko-tatarskie w wędrówce swej ku zachodowi nie tylko uczyniły to samo, ale przez wieki całe trzymały ich w poddaństwie. Z drugiej strony, był czas, kiedy zachodnia ich granica sięgała Elby, a nawet mieli oni wysyłać kolonistów do Holandyi i Anglii południowej. Znaczna część wschodnich Niemiec, Czechy, Morawy, Węgry, niższa dolina Dunaju i półwysep bałkański, częściowo lub całkowicie uległy zesławiańszczeniu; na koniec mowa słowiańska, która niegdyś z trudnością mogła się być utrzymać w Rosyi zachodniej i w Małorosyi—rozciąga obecnie panowanie swoje nad fińsko-tatarską ludnością Wielkorosyi, a nadto posuwa się w głąb Azji, aż do granic Indyi na południu i do oceanu Spokojnego na Wschodzie. Przynajmniej tedy choć trzy rasy złożę się musiały na wytworzenie ludów słowiańskich: długogłowi blondyni, krótkogłowi bruneci europejscy, oraz azyjatyccy krótkogłowi bruneci. W braku zaś dowodów przeciwnych, sądzić wolno, że właśnie długogłowi blondyni nadali tym ludom cerę jasną, także włosy i wysoki wzrost, tak często napotykaną, zwłaszcza u słowian północnych, oraz, że cerę brunetów i wzrost mniejszy przypisać należy wpływowi dwu ras innych. Jeżeli jednak przypuszczenie to jest

ko długo, krzając co chwila i drapiąc się w głowę. Objawy współczucia ze strony słuchaczki przynosiły mu niejaką ulgę. Kobieta opowiedziała potem znowu długą historję, podobną do tegoż zdarzenia, o swoim krewniak, którego także zabrano z rekrutami, choć się nie należało, a jednak potem wrócił, choć kłopotu z tego powodu było też bardzo wiele.

— Żeby go aby zastał... o mój Jezul—wzdychał Grzelak, udręczany ciągle jedną myślą.

Pojechali dalej. Pod wieczór wichura zmniejszała się, białe płatki przestały sypać się z nieba, tylko nierówne zasy py śniegu utrudniały drogę. Wysokie drzewa topolowe, czerniące się rzędami długimi, chroniły na szczęście od zabłąkania.

Chociaż oddawna noc zapadła, a mróz ścisnął członki, Franciszek jechał dalej, smagany wewnętrznym niepokojem. Gwiazdy ozłociły sklepienie niebios, potem księżyc srebrny wypłynął i nadał białemu światu srebrzyste blaski, a wóz toczył się dalej a dalej, ścieląc ogromny ciemny cień na śniegu za sobą. Ojciec jeszcze częściej odwracał się do Wosia, nie pozwalając mu zasnąć.—Nie śpij chłopcze,—przemawiał,—nie śpij, bobyś zmarł na śmierć.

Przybyli nareszcie do Łęczycy po 12-o-go-

słusznem, tedy aryjską postać i osnowę języków słowiańskich można również przypisać długogłowcom. Pochodzą oni nie od krótkogłowych brunetów azyjatyckich, mówiących wszędzie językiem nie-aryjskim; można również wypowiadać się przeciwko pochodzeniu ich od europejskich krótkogłowych brunetów, wśród których język nie-aryjski panował nawet jeszcze w czasach historycznych.

Prawdopodobnem jest, że nawet w zaraniu dziejów Grecy nadmorscy byli rasą bardzo mieszaną. Z drugiej strony, Doryjczycy mogli byli przechować typ pierwotny; wędrowni zaś ich mogli być najwcześniejszym przykładem znanym owych ruchów rasy aryjskiej, które później miały przeobrazić postać Europy. Analogija pozwala też może na przypuszczenie, że owe cienie etnologiczne—Pelazgowie—mogli stanowić pewną jeszcze dawniejszą ludność mieszaną, jak np. ludność Gallii zachodniej i Brytanii przed najściem teutońskim. Bądź co bądź, jasnowłosi długogłowcy już w najdawniejszych dziejach półwyspu mają tak licznych przedstawicieli, że można ich uważać za dziedziców mowy aryjskiej, jaką się tam posługiowano. Może też być, że tradycja, zaludniająca Frygię Trakami, jest wspomnieniem istotnego ruchu Aryjów w kierunku Azji Mniejszej. Nakoniec, gdyby tylko wiedziano więcej o Sarmatach i Scytach historyków najdawniejszych, byłibyśmy może odkryli, jak sądzi autor, że nawet w czasach historycznych przestrzeń zajmowana przez jasnowłosych długogłowców o mowie aryjskiej ciągnęła się nieprzerwanie od brzegów Morza Północnego aż do Azji Środkowej.

Rasa aryjska musi być o wiele starsza od pierwotnej aryjskiej mowy. Niepodobna sądzić poważnie, że ta ostatnia ukazała się nagle. Skoro zaś tak, skoro pierwotna mowa aryjska powstała za sprawą wiekowego rozwoju, tedy jasnowłosi długogłowcy, wśród których się ona ukształtowała, musieli przez długie wieki być nie-aryjami pod względem filologicznym, a przynajmniej, jakby mógł ktoś powiedzieć, pra-aryjami. Przypuszcza Huxley, iż z łatwością można się zgodzić na to, że języki: sanskrycki, zendzki i grecki były całkowicie już zróżniczkowane w 1500 r. przed Chrystusem. Jeśli tak, to o ileż wcześniejszym musiało być istnienie pierwotnej mowy aryjskiej, z której tamte powstały; o ile dawniejszą znowu owa istotna *juventus mundi*, kiedy się kształtowała ta mowa pierwotna; nakoniec, o ileż głębiej zapadają w przeszłość początki różniczkowania się aryjskich długo-

głowców jasnowłosych, z pierwotnego pnia ludzkości?

Doktryneryzm w kłopotcie.

(K. R. Żywicki. Przed i po 1 października. Warszawa 1891 r.).

W literaturze naszej nie posiadamy dotąd żadnej pracy, poświęconej niemieckiej socjal-demokracji, jakkolwiek przedstawia ona bezwątpienia znaczną siłę polityczną. Broszura, której tytuł wypisaliśmy u góry, ma właśnie ten brak zapełnić. Autor powiada w przedmowie, że „uważa za pożyteczne wyrobienie sobie należytego pojęcia o dziejach, taktyce, słabych stronach socjal-demokracji”. W broszurze swojej p. K. R. Żywicki niewiele daje wprowadzić czytelnikom materiału faktycznego, podaje im natomiast gotowe już wnioski, własne wyrobione pojęcie.

Przedstawienie filozofii, że tak powiem, ruchu socjalistycznego w Niemczech nie jest w ogóle zadaniem łatwym, p. K. R. Żywickiemu przeszka-dzały przytem właściwości jego umysłu. Mam tu przedewszystkiem na myśli jego „uproszczony” sposób pojmowania zjawisk społecznych. Co to jest walka klasowa? Jest to walka szczerów sytych i głodnych—powiedział Heine. Co to jest kwestyja społeczna? Jest to kwestyja żołądka, rzucił ktoś inny. P. K. R. Żywicki, uderzony prostotą tych paradoksów, bierze je dosłownie i uważa za zupełnie ścisłe formuły. W walce klasowej nie widzi on wcale ścierania się sprzecznych światopoglądów, sprzecznych ideałów społecznych i etycznych. Można tak lub owak objaśniać powstanie tych czynników, przeczyć jednak ich istnieniu, albo nie zwracać na nie uwagi jest błędem nie do darowania, błędem nie pozwalającym zrozumieć najprostszyc i najwyczejniejszych zjawisk dziejowych.

W Europie zachodniej klasa mieszczańska przeszła już swój cały niemal cykl dziejowy. Przebieg jej walki z klasami uprzywilejowanymi, jej tryumf i obecny upadek zbadany już został dostatecznie. Wiemy bardzo dobrze, że nie wówczas, kiedy mieszczaństwo było najgłodniejszym, zapragnęło ono panowania nad światem, wiemy również, że tryumf jego nastąpił wtedy, gdy jego idee klasowe rozszerzyły się daleko po za sferę swego pochodzenia, gdy przeniknęły one w mózgi tych nawet, którym groziły zagładą, słowem, wówczas, gdy stały się ideami

ogólno-ludzkimi, ideami wieku. Panowanie mieszczaństwa zgotowało ludzkości jedną z najboleśniejszych epok jej życia. Europa, na szczęście, przeżyła już najokropniejsze chwile, położenie klas pracujących w ostatnich czasach polepszyło się znacznie. Nie znaczy to jednak wcale, aby panowanie mieszczaństwa utrwaliło się przez to. „Głodne szczury” właśnie dlatego, że są mniej głodne, że mogą myśleć nie tylko o kawałku chleba na dzień następny, stawiają żądania większe. Idee stanu czwartego rozlewają się coraz szerzej, występują po za brzegi swego stanu, stają się ideami wieku, ideami ludzkości. W tej lub innej formie, w tym lub innym rozmiarze przenikają one w umysły tych nawet, których interesom są wręcz sprzeczne, i samo mieszczaństwo czuje, że jego rola dziejowa już się kończy.

To przenikanie idei jest najcharakterystyczniejszym faktem chwili obecnej i właśnie tego faktu p. K. R. Żywicki nie widzi. Gdybyśmy chcieli naśladować jego sposób argumentowania, powinniśmy powiedzieć, że widzieć nie chce, albo że udaje, iż nie widzi. Istotnie, w taki znowu „uproszczony” sposób rozumie p. K. R. Żywicki różnice stronnictw. Jedne z nich, sympatyczne autorowi, głoszą prawdę, inne przeciwnie—świadomie okłamują ludzi. Żądania i propozycyje pierwszych są dobre, żądania drugich są nieczne i zgubne. Autor nie ma żadnego samodzielnego kryterjum dla sądenia zjawisk społecznych, jedyną wskazówką dlań jest ślepe trzymanie się za fałdy sympatycznych ludzi. Ztąd wypływa, że nie odróżnia on istotnych interesów warstwy społecznej od chwilowych i partyjnych interesów stronnictwa, które warstwę tę przedstawia. A że, jak przekonamy się niebawem, nie rozumie on też taktyki politycznej, domyślić się łatwo, jakie zabawne *qui pro quo* odszukać możemy w jego pracy.

Bardzo często się zdarza, że jakiejś reformy społecznej, jakiejś nowej instytucji domagają się jednocześnie rozmaite wrogie sobie stronnictwa. Dla nas będzie to przedewszystkiem wskazówką rozpowszechnienia się nowych idei, które weszły w pewnym rozmiarze nawet do programów stronnictw zachowawczych już to wskutek zupełnie szczerego przejęcia się niemi, już wreszcie wskutek uznania konieczności dziejowej. P. K. R. Żywicki w takich razach nie umie sobie dać rady. O przenikaniu idei wiedzieć nie chce, o rozsądku niektórych niesympatycznych nawet sobie stronnictw (np. ultramontańskiego) nie wątpi, i wskutek tego w ocenie społecznego znaczenia takich np. trade-unions, których zwolennikami są stronni-

dzinnej podróży. Wosio, zdjęty z woza i złożony na pęku słomy, zasnął natychmiast. Franciszek musiał jeszcze konie oprzątnąć, zanim zbolate swe członki do snu ułożył. Zasnąć wcale nie mógł, twarz miał rozplamioną, a wewnątrz czuł zimno. Kręcił się na swem madejowem łożu aż do rana.

Dobrzy ludzie doprowadzili go nazajutrz do właściwego miejsca. Zaszła rzeczywistość jakaś pomyłka, już ją zauważono i Waśko miał wracać do domu; przychudł on i zmierzniął ze strachu, lecz ujrawszy ojca, ucieszył się bardzo i naglił do powrotu.

Nie brała go nawet ochota przyjrzenia się miastu, w którym spędził kilkadziesiąt nieprzyjemnych godzin; Franciszek czuł się bardzo chorym, pił ciągle wodę i ciągle pragnął, chętnie więc dał się nakłonić do natychmiastowej jazdy.

Dzień był mroźny, ale piękny; słońce, choć blade, ogrzewało cokolwiek podróżnych. Na dalekich, białych przestrzeniach odcinały się wyraźnie kontury rozrzuconych wiosek, osad, drzew sadu płączących się w czarną na lazurze tle niebios rozciągniętą koronkę. Nadrożne topole, pokryte grubo śniegiem, obwieszane kryształowemi sopłami, mieniły się barwami tęczy i brylantów; siedzące na gałęziach wróble, sikory i trznadłe świergotały wesolo do słońca. Konie szły prędko i par-

skwały rażno. Oblicze powożącego Waśka, zarumienione od mrozu, promieniało radością; cieszył go ten świat wesoly, a więcej jeszcze radował powrót do domu.

Franciszek leżał na słomie, zgorączkowany, zbolały, a tulący się do niego kaleka odczuwał cierpienia ojca, wdychał z głębi zapadłej swej piersi. Oczy jego zagaste nie oglądały blasków światła dziennego, zgębionych zimnem członków nie ożywiał duch rozradowany pięknosciami widoków.

Na popasie, z najoma od wczoraj karczmarza, ujrawszy rekruta przy koniach, plasnęła w dłonie i witała podróżnych przychylną twarzą, a przyjrawszy się zwlekającemu się z trudnością z woza Grzelakowi, zaczęła kiwać głową znacząco.

— Z wami, jak widzę, jest kiepsko, jakieś choróbsko was opanowało — rzekła.

— O moja paniczku! źle ze mną, dalibóg, że źle bardzo, — odparł chory.

— Zmartwiliście się i przeziębiliście, a to nie dobrze.

— Bogać tam dobrze? Cóż robić? Niech się dzieje Wola Boża.

Karczmarza przyniosła szklanekę herbaty z arakiem, zachęcała do picia. Pił ją Franciszek chciwie, rozgrzewała go wewnątrz i koila pragnienie.

— Jak przyjedziecie do domu, kaźcie się wy-

smarować okowitą, napijcie się wódki z tłuszczem, a może to przejdzie, czasem też tak bywa — radziła jeszcze gospoia.

— Coś mię w samym krzyżu boli i żga. O la Boga! O la Boga!

— Trzeba krzyż dobrze wysmarować.

Późną znowu nocą podróżni nasi wrócili do domu. Marysia powitała ich radośnie. Serce jej macierzyńskie przeszło także męki niepokoju, trwogi, oczekiwania. Ujrawszy powracających ucieszyła się; choroba męża nawet nie zaniepokoiła jej na razie; pocieszała się, że po wysmarowaniu i wypiciu wódki z tłuszczem cierpienie przejdzie.

Zajęła się zaraz podaniem jakiegoś jedzenia chłopakom, a Walkowa wysmarowała krzyż i boki chorego okowitą rozgrzaną, dała mu do picia wódki z tłuszczem i nakryła go pierzyną.

Franciszek spał niespokojnie, rzucał się na posłaniu, mówił ciągle przez sen o Waśku, o wojsku, że przyjedzie za późno, że już dziecka nigdy nie obaczy. Marysia zaniepokoiła się teraz, zapaliła łuczywo w piecu, siadła obok łóżka i patrzyła trwoźnie na śpiącego. Raz poraz budziła go nawet pytaniami, co mu jest, co go boli najbardziej.

(Dok. nast.)

ctwa sympatyczne autorowi i niesympatyczne, ciągle się waha (patrz str. 22, 34, 36, 64). Ostatecznie, o ile wnieść można, przychodzi do przekonania, że społeczne znaczenie reformy lub instytucji zależy od tego, kto ją w życie wprowadził. „Co dał, to dał, ale kto dał” — oto jego zasada, którą przeciwstawia niezrozumianej przez siebie zasadzie: „kto dał, to dał, byle co dał”. Co oznacza ta ostatnia formuła? Nie więcej nad to, że społeczne znaczenie reformy lub instytucji oceniać należy na zasadzie jej skutków, nie zaś ze względu na osoby i pobudki tych, którzy ją w życie wprowadzili. Nie dziwnym się zresztą wcale, że p. K. R. Żywicki przeciwko tej zasadzie występuje, czy też nie rozumie jej; z „uproszczonym” pojmowaniem rzekomych społecznych nie ma ona nic wspólnego.

Zarzucał nieraz naszym politykom dziennikarskim, że wyobrażają sobie, iż biorą czynny udział w walce stronnictw europejskich. Nie mamy więc obserwatorów życia zagranicznego, oświeclających fakty ze stanowiska swoich ideałów społecznych, mamy natomiast bulanzystów, windhorstczyków, ferrystów, gladstończyków i t. d. Wskutek tego właśnie publiczność nasza nie ma dokładnego pojęcia ani o ewolucji społecznej za granicą, ani o taktyce stronnictw. Od podobnego rodzaju zarzutu nie jest wolny p. K. R. Żywicki. Jakiś widzieli, nie umie on zająć stanowiska „widza, albo fizyka w pracowni”, o czym zapowiada w przedmowie. A jednak toż samo zjawisko społeczne inaczej ocenianem być musi ze stanowiska obserwatora i inaczej ze stanowiska czynnego członka stronnictwa. Ztąd też podnosi on z naciskiem fakty bardzo prozaične i zrozumiałe. Wykluczenie przez socjal-demokratów Rittinghausena, który chciał głosować za projektami Bismarcka, ponieważ uważał je za pożyteczne, wyduje się autorowi czemś godnym wielkiej uwagi. Tymczasem, jest to zwykle postępowanie wszelkiej opozycji, postępowanie zupełnie ze stanowiska interesów stronnictwa usprawiedliwione. Niemiecy socjal-demokraci głoszą, że zadaniem ich jest „poganianie leniwych wołów”. Frazes ten najlepiej świadczy, że uważają oni reformy obecne, bez względu na to, kto je daje, za pożyteczne, jednocześnie jednak sądzą, że zarówno w interesie własnego stronnictwa, jak i warstwy, którą reprezentują, przy obecnej sile stronnictwa w parlamencie korzystniejszym jest stanowisko krytyczne i negacyjne. Praktyka przekonywa, że mają oni pod tym względem zupełną rację. Gdyby kiedyś głosy ich zaważyły mogły na szali parlamentarnej, prawdopodobnie by taktykę zmienili. Myśli tych uwydatnił p. K. R. Żywicki nie potrafił, jakkolwiek przebłysk ich daje się gdzie-niegdzie zauważyć.

Autorowi zrobić można w ogólności zarzut, że nie umie formułować swoich myśli; kilkakrotnie usiłuje on scharakteryzować taktykę opisywanego przez siebie stronnictwa i nie udaje mu się to ani razu. Przedmiot jest zupełnie biały; z czarnymi plamami; prawie biały. Oto szereg zdań, po których w umyśle czytelnika nie zostaje żadnego określonego wrażenia. Mówiąc o krytyczno-negacyjnym stanowisku socjal-demokracji, p. K. R. Żywicki na str. 29 pisze: „Wogóle nawet żądania praktyczne miewały na widoku nie tyle polepszenie bytu ekonomicznego, ile wzbudzenie zainteresowania i świadomości klasowej. Jedynym wyjątkiem były żądania, które przeprowadzone podniosłyby zdrowie fizyczne ludności, dałyby jej czas na kształcenie umysłu i zajęcie się sprawami politycznymi, wreszcie zmniejszyłyby niepewność bytu. Tutaj należą: prawodawstwo fabryczne, zapewnienie utrzymania inwalidom pracy, urzeczywistnienie prawa do pracy.” Wyjątki stwierdzają tylko prawdę, którego uczono nas kiedyś w gramatyce, ciekawa jednak rzecz, co zostanie z prawidła po tym *jedynym wyjątku*.

Ustęp wskazany powyżej odnosi się do dawnej taktyki socjalistów niemieckich; jakąż jest jednak taktyka dzisiejsza? Autor nie umie wskazać różnicy, jakkolwiek zarówno sam, jak i cytowany przez niego mówca na kongresie w Halli zaznaczają, że takowa istnieje. Autor napada na nasze dzienniki za to, że głosiły, iż socjal-demokracja stała się bardziej umiarkowaną. Istotnie, dzienniki nasze, nie obeznane z dziejami stronnictwa, mylnie podały datę te-

go umiarkowania, łącząc ją ściśle z kongresem w Halli. Fakt jednak umiarkowania nie ulega wątpliwości. Mowa tu naturalnie nie o umiarkowaniu w ideach, czego nikt, o ile wiem, nie zarzucał, ale o umiarkowaniu bezpośrednich żądań. P. K. R. Żywicki, nie umiejąc wytłumaczyć tego zjawiska, woli mu zaprzeczyć. Powiada też, że i obecnie socjal-demokracja stawia żądania krańcowe: np. 8-godzinny dzień roboczy przeciwstawia rządowym projektem prawodawstwa fabrycznego. Zapomina jednak dodać, że nie żąda ona natychmiastowego wprowadzenia 8-godzinnego dnia, ale odkłada go do roku 1894, na teraz zaś żąda dnia 10-godzinnego, t. j. dnia, który w bardzo wielu fabrykach zwłaszcza w Szwajcaryi i Anglii jest już obecnie normą zwyczajową. Inny przykład tego umiarkowania widzieć mogli czytelnicy nasi w rozprawach parlamentarnych nad prawem o odpoczynku niedzielnym.

Zkąd pochodzi to umiarkowanie? Gdy jakieś stronnictwo opozycyjne wzrasta w siły i zaczyna mieć nadzieję, że może być powołane do rządu, usiłuje ono wówczas wykazać swoją *Regierungsfähigkeit* (zdolność do rządów), t. j. wykazać, że zna ono warunki chwili i bierze je pod uwagę. Ani Bebel, ani Liebknecht nie mogą mieć nadziei, że powołani będą na stanowiska ministerjalne przez cesarza Wilhelma, chodzi im jednak o to, żeby przekonać społeczeństwo (że użyjemy niedawnych słów Bebla), iż nie są marzycielami nierachującymi się z warunkami czasu i miejsca. Rzecz można, chodzi im o wykazanie klasom pracującym, że są *regierungsfähig*. Pod względem agitacyjnym jest to również w obecnych warunkach doskonała taktyka. Robotnik niemiecki, jakkolwiek radby pracować nie dłużej nad 8 godzin dziennie, w gruncie rzeczy nie bardzo wierzy w możliwość natychmiastowego urzeczywistnienia podobnej reformy. Odrzucenie przez izbę wniosku, domagającego się dnia 8-godzinnego, nie może być przeto tak wyzyskane dla celów agitacji, jak odrzucenie dnia 10-godzinnego. „Nawet rzeczy tak drobnej dać wam nie chcą” — oto hasło, wybornie do agitacji się nadające.

Z braku miejsca musimy ograniczyć nasze uwagi o broszurze p. K. R. Żywickiego do minimum. Zaznaczmy więc tylko, że, gdy jakieś stronnictwo rozpada się na dwa walczące z sobą odłamy, autor nie wie, co z tem począć, któremu z nich oddać swoją sympatyję, czy też antypatyję. Nie umiejąc się wywikłać z zadania, stara się on zmniejszyć znaczenie podziału, sprowadzić go do minimalnych rozmiarów. Na zaznaczenie zasługuje również słabość wiary p. K. R. Żywickiego w postępy ewolucji społecznej. Mówi on dużo o „przeżytych kształtach”, nie jest jednak mocno przekonany, iż kształtów tych „żaden cud nie wskrzesi do istnienia”. Właśnie ze stanowiska autora jest to rzeczą bardzo dziwną.

Pewien postęp zaznaczyć można w rozumieniu przez autora kwestyi chłopskiej. Zdaje się on powoli przekonywać, że antagonizm miejskich i wiejskich klas pracujących nie jest nieuniknionym; nie spotykamy też w broszurze ani „turbowania dzicy”, ani „opornego chłopstwa”. Co najwyżej wspomina on o „odpowiednio publicznym, dekretowym” przemawianiu miasta do wsi. Pomimo większej przyzwyczajności w wystąpieniu, autor wiele rzeczy w tej kwestyi nie rozumie jeszcze, i dotąd też nie mówi inaczej o chłopach, jak o *chłopstwie*, „chłopskiej obórcie” i t. d.

J. H. Siemieniecki.

Z dziedziny psychologii.

Hypnotism by Albert Moll. London, 1890. *L'inhibition dans les phénomènes de conscience* par A. Binet. Revue Philos. 1890.

Dzieło Molla, tłumaczone z oryginału niemieckiego, stanowiące jeden z tomów wydawnictwa „The contemporary science series”, jest systematycznym i popularnym wykładem nauki o hypnetyzmie. W pojedynczych rozdziałach znajdzie tu czytelnik historię hypnetyzmu, objawy jego, tak fizjologiczne, jak i psychologiczne; teoryje, usiłujące wytłumaczyć te zjawiska; roztrząsanie kwestyj, doty-

czących usposobienia do hypnozy, stosunku tego stanu do innych pokrewnych mu — udawania; wreszcie osobne rozdziały poświęcone są zastosowaniom lekarskim hypnetyzmu i stosunku jego wobec prawa. Autor przywiązuje największą wagę do psychologicznej strony zjawiska, która obszernie jest traktowana, przez co dzieło wyróżnia się korzystnie od większej części broszur i rozpraw w tym przedmiocie wydawanych. Książkę czyta się z zajęciem i z wielką łatwością, do czego przyczyniają się liczne przykłady, wzięte przeważnie z praktyki autora. Wyświetlają one niektóre mało poruszane lub błędnie stawiane dotychczas zagadnienia, a zwłaszcza dotyczące pamięci w stanie hypnozy i po hypnozie, również udziału świadomości i woli w uczynkach, wywołanych przez poddanie hypnotyczne.

Co do pierwszej, to wyjaśnia autor za pomocą szeregu doświadczeń, że strata pamięci tego, co się działo w stanie hypnozy, najczęściej jest tylko względną i że skojarzenie wyobrażeń może przypomnieć wszystko, co się odbywało w czasie seansu¹⁾. Ma to ważne znaczenie prawne; autor sądzi nawet, że stosunkowa nieliczność nadużyć, popełnianych nad osobami zahypnotyzowanymi, daje się wytłumaczyć tem, że hypnotyzerowie o tej własności pamięci wiedzą. Ciekawe też są fakta, dowodzące udziału świadomości i woli w postępowaniu hypnotyka; tak np. osoba, poddająca się z łatwością, gdy idzie o uczynki lub myśli obojętne, z trudnością przejmuje takie, które pozostają w sprzeczności z wymaganiami moralnymi, przyzwyczajeniami, wynikającymi z wychowania lub wierzeniami. Oporność taka objawia się zarówno względem poddania w stanie hypnotycznym, jak i względem sugestji po hypnotycznych (t. j. gdy uczynek ma nastąpić już po obudzeniu). Przytoczymy tu parę przykładów: osobie zahypnotyzowanej poddano myśl nazwania osłem jednego z obecnych, gdy uderzy zegar. Zegar bije, lecz pacjent wstrzymuje się: myśl przyszła mu do głowy, ale zdołał ją stłumić. Tej samej osobie nakazuje się powtórnie, aby uczyniła to samo po obudzeniu, gdy hypnotyzer znacznie zaciera ręce. Pacjent waha się jakiś czas, lecz hypnotyzer uporczywie ręce zaciera; wola pacjenta słabnie coraz bardziej, aż wreszcie rozkaz zostaje wykonany. Opór jest tem większy, im wstrętniejszym rozkaz.

Pewna osoba, która z łatwością ulegała poddaniu, że ma 10, 12 lub 20 lat, uporczywie obstawała przy swoim rzeczywistym wieku, skoro tylko starano się jej rzec, że ma 13 lat: pokazało się, że przyczyną był przesąd, dotyczący liczby 13.

Tłumacząc zjawiska hypnotyczne, autor stara się zespolic objawy poszczególne z podobnymi, zachodzącymi w stanie normalnym; nie wiele to wyjaśnia, co prawda, istotę zjawisk hypnotycznych, ale wykazuje, że w stanie hypnozy mamy do czynienia z temi samymi władzami ducha, co i w normalnym, jakkolwiek pojedyncze objawy występują tu wyraźniej, wskutek przytłumienia innych, w ten sposób, że studia nad hypnetyzmem, prowadzone umiejętnie, wyświetlić mogą cały szereg zagadnień tak psychologicznych, jako też i dotyczących teoryi poznania.

Z tego właśnie stanowiska prowadzone były niezmiernie ciekawe doświadczenia Bineta. Praca jego podnosi znaczenie czynnego udziału myśli w postrzeganiu (percepcji) wrażeń zmysłowych, oraz zależność tych wrażeń od wniosków logicznych, a opiera się przeważnie na doświadczeniach nad osobami zahypnotyzowanymi i na zestawieniu wyników ze zbliżonymi objawami świadomości normalnej. Autor przedewszystkiem zatrzymuje się nad rozbiorem psychologicznym przeczenia; wykazuje on, że w przeczeniu mamy zawsze do czynienia z wyobrażeniem dodatnim. Gdy powiadamy, że nic nie leży na stole, wyobrażamy sobie, że widzimy całą powierzchnię blatu. Mówiąc, że książka nie leży na stole, powinniśmy naprzód utworzyć sobie obraz książki, leżącej

¹⁾ Przed kilku laty dowiódł tego doświadczalnie Delbeuf. Pamiętanie zależy od sposobu budzenia uspiętego: cucąc go w chwili *wykonywania* jakiejś sugestyi, daje się mu możliwość przypomnienia wszystkich wydarzeń seansu. (Red.).

na stole, i połączyć go z wrażeniem rzeczywistości, zaprzeczającemu temu.

Przeczenie więc polega na przeciwstawieniu dwóch wyobrażeń dodatnich (np. książki leżącej na stole i niepokrytego blatu). W sposób podobny obalamy złudzenia zmysłowe: jeśli położymy kulkę między skrzyżowanymi palcami, otrzymujemy wrażenie dwoistości, ale dopóty tylko, dopóki nie widzimy kulki. Skoro wzrok przekona nas o pojedynczości przedmiotu, złudzenie ustaje. Wrażenie wzrokowe zwalcza wrażenia dotyku.

Przejdźmy teraz do poddawania hypnotycznego. Aby osoba, której się wmawia nieobecność pewnego przedmiotu, istotnie powzięła wyobrażenia tej nieobecności, koniecznym jest, aby poprzednio miała ten przedmiot przed sobą. Janet wykazał, że i w ciągu znieczulenia wrażenie przedmiotu, niewidzianego przez zahypnotyzowaną osobę, istnieje w jej umyśle, ale jakby w innym polu świadomości, odmiennym od tego, które osoba ta za swoje „ja” uważa; wrażenie to można odnaleźć w owym drugim „ja” za pomocą pewnych środków (np. pisma automatycznego). Binet i Féré wykazali, że mamy tu do czynienia z halucynacją swego rodzaju. Gdy np. pokazując komuś klucz, leżący na stole, powiadamy, że klucza na stole nie ma, wywołujemy w nim halucynacją niczem niepokrytego blatu. Złudny ten obraz, wcielając się w syntezę idei, wygania z niej wrażenie zmysłowe leżącego klucza, które jednak zostaje w jakimś innym polu świadomości. Pacjent, robiąc wnioski logiczne o tem, co byłby widział, gdyby nie było przedmiotu zakazanego, spostrzega inne przedmioty w rzeczywistości przez ów przedmiot zakryte: *Wniosek logiczny przybiera więc tu postać halucynacji*. Tak samo też w innych złudzeniach zmysłowych. Gdy poddamy pacjentowi wyobrażenie ptaszka, nie tylko widzi on go, lecz czuje trzepotanie skrzydeł; słyszy śpiew; jeśli zbliżymy pręcik, widzi jak ptaszek siada nań i t. d. Wszystko to są wnioski logiczne z poddanego wyobrażenia ptaszka, a które przybrały postać halucynacji zmysłowej. Myśl wpływa stanowczo na percepcję: halucynacja np. posiada niekiedy własności ciała nieprzezroczystego. Jeśli poddamy myśl portretu tam, gdzie w rzeczywistości stoją litery drukowane, to pacjent nie widzi ich po za wyobraźnym portretem, gdyż wnioskuje, że nie widziałby, gdyby portret był tam rzeczywistością.

Następuje to jednak tylko wtedy, gdy przedmiot rzeczywisty nie może się zlać w jedno z wyobrażanym. Tak Binet kazał narysować poddaną pacjentowi halucynację głowy ludzkiej na kawałku papieru, na którym poprzednio narysowano kapelusze; pacjent narysował głowę w kapeluszu. Przeciwnie, podsuwając mu papier, na którym narysowano zwierzę, otrzymano rysunek głowy ludzkiej, jak gdyby nie było zwierzęcia. W pierwszym wypadku wrażenia nie były z sobą sprzeczne i dla tego pacjent przejął oba; w drugim wyobrażenia nie mogły się zlać z sobą i pacjent widział tylko jedno. Hypnotyzowany usiłuje jednak zlać oba wyobrażenia, jeśli się one do takiej syntezy nadają; gdy mu poddano obraz siedzącej osoby i podsunęto papier, na którym był niezgrabny szkic ptaka, narysował on osobę siedzącą, przyczem niektóre części wizerunku ptaka przerobił na krzesło.

Ażeby ocenić należycie te doświadczenia, przypomnijmy, że spotykamy się w życiu codziennym z zupełnie podobnymi, chociaż nie tak dobitnymi objawami. Skupiając np. uwagę na jednym przedmiocie, możemy nie słyszeć i nie widzieć, co się dokoła nas dzieje; znane są również owe obrazki, w których, stosownie do tego, na co zwrócimy uwagę, zdaje się nam, że widzimy raz głowę ludzką, to znowu zwierzę lub krajobraz. Świadczy to wszystko, że wykluczanie się wzajemne dostatecznie przeciwstawnych wyobrażeń jest podstawą naszej percepcji normalnej. Godnym jest uwagi, że jedno z podstawowych praw myślenia, tak zwana zasada sprzeczności, jest zarazem też podstawą percepcji zmysłowej. Wszystkie bowiem wypadki znieczulenia hypnotycznego, któreśmy oglądali wyżej, nie są w gruncie rzeczy płodem znieczulenia samych organów zmysłowych, lecz następstwem stłumienia jednego wyobrażenia przez drugie na podstawie owej zasady logicznej. Zjawi-

ska te dadzą się zupełnie zestawić z pewnymi doświadczeniami, dotyczącymi widzenia przez ślepego płamę siatkówki¹⁾.

Przerzuciśmy się na chwilę z zakresu faktów w dziedzinę hipotez. Jeśli prawdą jest, że myślenie nasze kształtuje się według form apriorystycznych, niezależnych od doświadczenia, to czy nie jest możliwym istnienie stosunków zewnętrznych, o których niepodobna powziąć wyobrażenia, nie dla tego, że one nie oddziałują na zmysły nasze, lecz ponieważ, wskutek tych form apriorystycznych, nie dadzą się w żaden sposób skojarzyć z innymi wyobrażeniami? Świat przez nas poznany byłby zatem o te wszystkie przedmioty uboższy? Zagadnienie to, na które dziś nie odpowiadzić nie możemy, ale w którym tkwi może źródło nieprzejdanych sprzeczności poznania.

BEZ OBLUDY.

Restytucja. — Tow. Dobroczynności. — List Majera i bankructwo Wróblów. — Do Berlina handlarze posad; handel kobietami. — Delegat do Brazylii.

Przekonałem się nieraz z własnego i cudzego doświadczenia, że papier jest cierpliwy; zdaniem *Kołobów* impresjonisci starają się dowieść światu, że cierpliwem również jest płótno; ale najcierpliwszą, jak się zdaje, rzeczą na świecie są ludzie.

Panu Antoniemu Szustrowi, który ma przywilej być sąsiadem *Kuryjera Warszawskiego*, odesłał ktoś pakiet pieniędzy, zapewne skradzionych mu kiedyś, o czem jednak firma ta nie wie, gdyż, sprzedając innym księgi rachunkowe i materyjały piśmienne, sama zapewne obchodzi się bez nich. Pomimo to jednak lotny w domysłach swoich *Kuryjer* przyszedł do wniosku, że musi to być jakaś restytucja, czyli zwrot pieniędzy niegdyś skradzionych „naszemu sąsiadowi”, co teraz, w porze spowiedzi wielkanocnej, zdarza się często. Można byłoby wprawdzie urządzić się tak jakoś, aby kradzieży nie było, a tem samem — aby nie było potrzeby restytucji; ale na takie pogwałcenie osobistej wolności nikt z nas się nie zgodzi. Podobni jesteśmy do maniaka, któryby, puściwszy na rozrukane fale rzeki wszystko, co ma najdroższego, cieszył się później, że tu i ówdzie udało mu się wyłowić jakiś klejnot. Dokładamy wszelkich sposobów, aby uczynić ją mniej wstrętą, aby znaleźć takie dla niej formy i nazwy, pod jakimi nie raziałaby ani oka naszego, ani ucha, pod jakimi byłaby tylko „dobrym geszeftem”, „sprytną spekulacją”, „obroną własnych interesów”. Później ustanawiamy stróżów moralności i cieszymy się bardzo, gdy się uda wyłowić cokolwiek z mętnych nurtów życia. — Powszechną uwagę może zająć zamieszczone w *Kuryjerze Warszawskim* opowiadanie o handlu naszymi kobietami. Wzmianki i napomnienia o tem spotykaliśmy już nieraz; nigdy jednak sprawozdanie nie było tak wyczerpujące i nie przedstawiało klęski w rozmiarach tak wielkich. Okazuje się, że rokrocznie agenci lupanarów zagranicznych, zamorskich nawet, wywożą od nas po kilkaset dziewcząt, a czynią to w taki sposób, że istotnie niepodobna podejrzewać dobrej wiary naiwnych ofiar. W Buenos-Aires, gdzie koncentruje się handel a raczej gdzie jest miejscę główną konsumpcji żywego towaru wyraz *senorita polaca* są, jak mówi korespondent, synonimen *prostytutki*. Szczęściem jakaś pani L. mieszkająca w tem mieście uratowała już dwie świeżo przywiezione dziewczyny od smutnego losu nierządnic. Jest to znowu tylko restytucja, ale też zarazem nieoceniony dowód cierpliwości ludzi, jako materyjałów piśmiennych. Walka z tym handlem jest tem trudniejszą, że wszyscy komisarze cyrkulowi w Buenos-Aires pobierają po kilka tysięcy *pezos* czyli, mówiąc naszym pocziwym językiem, biorą łapówki i protegują agentów.

Znaną jest powszechnie anegdota o głupim

¹⁾ Por. doskonałą analizę tych objawów u Langego: *Hist. fil. materyjal. T. II, str. 399 i nast.*, „widzenie jest tu wnioskowaniem; a wniosek odbywa się w formie wyobrażenia wzrokowego” (str. 400).

śłudze wiejskim, który, pojechawszy do panicza, do miasta, w taki oto sposób opowiadał mu o nowinach z domu.

— Cóż słyhać u nas?

— Wszystko dobrze, tylko...

— Tylko co?

— Tylko ten pański ulubiony Kruczek zdechł.

— Tak... a cóż mu to było?

— Eh, bo to proszę pana, objadł się tego końskiego ścierwa.

— Jakiego ścierwa?

Okazało się, że konie pozdychały, zamęczone wożeniem wody, że woda potrzebną była do gaszenia ognia; że pożar wszczął się z gromnicy, gromnica zaś stała przy katafalku matki „panicza”.

Wyobrażam sobie, że jestem za granicą. Przyjeżdża do mnie „rodak”, zapytuje go co słyhać u nas.

Wszystko dobrze, same objawy dodatnie: pani L. uratowała dwie dziewczyny od rozpusty, prezes akademii Majer przysłał sto rubli na grobowiec dla księdza Jakubowskiego i t. d.

— A cóż to?

— Tak... a pani L.?

— Ach, to ty nie wiesz. Od nas agenci zagraniczni wywożą co roku kilkaset młodych dziewcząt do lupanarów, w Buenos-Aires komisarze uważasz biorą *pezos*, więc nie można dać rady agentom. Otoż pani L...

— Rozumiem. Co znaczy dar p. Majera.

— Aha... Przed kilku laty umarł w Warszawie ksiądz Jakubowski. Zapisał sporo Akademii Umiejętności. Teraz jego trumnę po upływie oznaczonego czasu trzeba wyjąć z katakumb i umieścić w grobowcu; niema na to pieniędzy. Zwracano się z prośbą do obdarowanej przez nieboszczyka akademii, ale akademii część legatu już zużytkowała, a druga część zabezpieczona była na realności panów Wróblów. U nas, uważasz, bywają często takie dziwne bankructwa. Pan Wróbel zbankrutował; wprawdzie realności im dopisują jeszcze, bo pani Wróblowa zaraz otworzyła sklep jeszcze piękniejszy, ale widać nie dopisały im idealności; otóż prezes Majer nie mógł...

Rozumiem, rozumiem. *Maryjan Bohusz.*

GŁOSY.

Sprawa o nadużyciach w muzeum staje się istotnie *głośną*. — Regulacja Wisły. — Nasze kobiety sprzedawane do Ameryki. — „Konkurs zamknięty”.

— (n) *Kuryjer poranny* zamieszcza list p. Walliszewskiego, wyjaśniający niektóre punkty poruszonej w ostatnim numerze *Głosu* sprawy nadużyć, praktykowanych w Muzeum przemysłowym.

Przed tygodniem w *Roli* kilku nas rzemieślników zażądało wyjaśnienia w kwestyi cen za miejsca na wystawie środkowo-azyjatyckiej w Moskwie, które te ceny kilkakrotnie skakały w górę, wynosiły zrazu 20% wyżej niż taryfa, następnie był 10% dodatek, następnie za miejsca przejściowe znowu dodatek, ostatecznie za jakies tam objaśnienia i katalog dodatek, co razem czyni około 150% dodatku do taryfy.

Żądaliśmy więc wyjaśnienia od szanownego zarządu muzeum, będąc w przekonaniu, że pod jego to egidą i za jego zezwoleniem został uzyskany od komitetu wystawy w Moskwie na wystawców z Królestwa monopol, pozwalający na wszystko tak zwanej komisji reprezentacyjnej. Omyliliśmy się jednak zupełnie, albowiem zostałem wezwany przez p. prezesa muzeum przemysłu i rolnictwa hr. L. Krasieńskiego i otrzymałem od tegoż osobiste wyjaśnienie ustne, iż zarząd muzeum do procentowania kosztów, obciążających rzemieślników, ręki nie przykładął, gdyż komisja reprezentacyjna jest to przedsiębiorstwo najzupełniej prywatne, zawiązało się bez upoważnienia muzeum, pomimo, że z osób urzędujących w muzeum złożone.

Podobienstwo blankietów komisji reprezentacyjnej, *wzwania jej tą samą drogą wysyłane co i wzwaniu komitetu muzeum, ten sam charakter pisma, te same podpisy* — każdego, mogły złudzić, więc też i my sądziliśmy, że mamy do czynienia z muzeum, wtedy gdyśmy traktowali z *płatnymi, z charakterem prywatnym, jego funkcjonaryjuszami, prywatnie obrabiającymi swój interes na własną rękę, w godzinach na prace dla muzeum przeznaczonych i w lokalu tym sa-*

nym, gdzie były przyjmowane deklaracje na zwykłe wystawy muzealne.

Podkreślił usęp ostatni, bo wykazuje on, iż zarząd Muzeum nie jest tu bez zarzutu, chociaż p. Waliszewski zbyt łaskawie zarzut cofa, poprzestając na zapewnieniu prezesa, że winni otrzymają nagane, (zapewne łagodną, ojcowską) i że podobne nadużycia nie powtórzą się więcej. Nam się zaś zdaje, że jest to dopiero początek sprawy i że do zupełnego jej wyjaśnienia jeszcze daleko.

NB. Istotnie, p. Hiszpański zamieścił w *Dzienniku dla wszystkich* list, który tu przytoczamy.

„Sprawy rzemieślnicze“!— Pod takim tytułem w dzisiejszym *Kuryjerze Porannym* kolega mój odwołał to, co podpisał w interpelacji umieszczonej w *Roli* 8 b. m. i roku.

W artykule tym kolega mój używa liczby mnogiej; oświadczam przeto, że mimo gróźb strasznej zemsty tych, którzy *prośbami wyjednali* u niego odwołanie, ja nie cofam ani jednego wyrazu z tego co publicznie, lub prywatnie mówiłem i pisałem w tej dziś już *wyrażonej*, ba, nawet *głośnej* sprawie.

Stanisław Hiszpański.

P. Chrzanowski oświadcza również, że zarzutu nie cofa.

* * *

— (n) Z powodu tegorocznej powodzi, p. A. R. podnosi znowu w *Słowie* odwieczną kwestyję regulacji Wisły, wykazując raz jeszcze, że sposób prowadzenia robót przyczynia się najwięcej do powstawania zatorów. Od 1850 do 1872 r. w nizinie sandomierskiej był jeden tylko zator w 1856 r., kiedy łamiące się lody ścisnął mróz 16 stopniowy. Tymczasem od 1872 r. t. j. od rozpoczęcia robót regulacyjnych prawie corocznie tworzą się zatory. Inaczej zresztą być nie może. Zrobiono kilkadziesiąt tam na przestrzeni 170 wiorst bez żadnego ładu i systemu. W jednym miejscu Wisła ściśnięta jest na 156 sążni, a często mniej, a zaraz poniżej szerokość rzeki dochodzi prawie wiorsty. To właśnie powoduje zatory, na co nawet władze administracyjne zwracały uwagę p.p. inżynierów, ale bez skutku.

Do czasów rozpoczęcia regulacji Wisły, t. j. od 1850 — 1874 przez lat 24 nizina koprzywnicka nie potrzebowała wydać ani razu jednego rubla na reparacje wałów i ochrony brzegów, Wisła miała swoje własne koryto, jeżeli gdzie podrywała brzeg, to miejscowymi środkami szarwarkowymi takowy umocniono, a prad wody, nie będąc sztucznie tamami kierowany, sam wyrabiał sobie koryto. Wskutek tego Wisła była prawie wszędzie jednostajną; żegluga miała z niej pożytek i zatory się nie formowały. Dziś żegluga ustała prawie zupełnie, bo już przy średnim stanie wody są miejscami płytkie. Cóż dopiero mówić o łądach i wałach.

Od czasu zaczącia regulacji nizina nasza wydała na umocnienie brzegów pod Gągolinem w r. 1878, 79, 80, 81 rs. 6,500, w r. 1880 na budowę zniszczonych wałów 5,500, w roku 1889 rs. 4,500, czyli razem rs. 16,500, dziś znów zostaliśmy bez wałów, bo zeszlotygodniowy zator zniszczył takowe i to w takich rozmiarach jak dotąd jeszcze nigdy nie miało miejsca. Znów usypanie wałów kosztować nas będzie najmniej 6,000 rs., a wszystkie te wydatki ponoszą tylko mieszkańcy miejscowi.

Nie wiem więc już w jaki sposób odezwać się do panów inżynierów, aby zechcieli przeciw zwrócić uwagę na nieszczęśliwe nasze położenie. Niechby dali pokój wszystkim regulacyjom a doprowadzili tylko rzekę we wspomnianych dwu miejscowościach do jednakowej szerokości koryta, a wszelkie obawy zatorów znikną. O więcej robót nikt nigdzie nie stoi. Jeżeli dalej tak pójdzie regulacja Wisły, to ani jeden mieszkaniec nie zostanie na Powiślu i ani jedna trawa nawet nie przepłynie Wisłą.

* * *

— (p) Korespondent *Kuryjera Warszawskiego* z Buenos Ayres opowiada straszne szczegóły o handlu kobietami, jaki prowadzą żydzi w południowej Ameryce. Tu w kraju agenci werbują nieświadome losu, jaki ich czeka, niby to do służby, i wysyłają za morze. Nie będziemy powtarzali opisu werbowania i podróży, zaznaczymy tylko, że po przybyciu na miejsce rozpoczyna się targ. Właściciele domów publicznych (przeważnie żydzi polscy i ruscy, którzy i w południowej Ameryce chętnie uprawiają ten proceder) płacą za młodą kobietę od 1,000 do 5,000 dolarów. „Co się dalej dzieje”, powiada p. Barszczewski, tru-

dno opisać. Otwierają się oczy ofiarom. Widać one przepaść przed sobą, lecz wracać zapóźno. Nikt ich nie rozumie inikt ich nie słyszy. Przy najmniejszej oznace nieposłuszeństwa bite, katowane, zamykane do piwnic, morzone głodem, popadają w stan apatii, poddają się rozkazom, piją z rozpacz i bydlęcą zupełnie; jedne kończą samobójstwem, inne obłędem”. Niedawno panna N. z Warszawy dowiedziawszy się na okręcie, gdzie i po co jedzie, skoczyła w morze i utonąła. Zamieszkała w Buenos Ayres polka, inżynierowa, pani R. przy pomocy p. Z. który umyślnie w tym celu wstąpił do policji starają się ocalić te dziewczęta, o których się dowiedzą. Zwykle udaje się to, bo policja miejscowa pomocy nie odmawia. Ale usiłowania prywatne w danym wypadku nie wystarczają. Poruszano już myśl zawiązania towarzystwa opieki nad wychodźcami, czy to jako samodzielnej instytucji w Krakowie, czy też jako filii niemieckiego towarzystwa S-go Rafała. Takie towarzystwo powinno mieć agentów nie tylko w europejskich, ale i w amerykańskich portach. Ale, zdaje się, że na projekcie poprzestano, a przynajmniej odroczone wykonanie jego, gdy tymczasem jest to sprawa bardzo pilna obecnie z powodu gromadnego wychodźstwa zeszłorocznego.

* * *

— (x) Na pomnik dla Moniuszki ogłoszono „konkurs zamknięty”, t. j. wyliczono tych artystów, którzy współzawodniczyć mogą. Wyboru sędziów dokonał p. Mierzwiński z tej jedynie racji, że dał koncert, z którego dochód stanowić będzie fundusz konkursowy. Nie dosyć tego jednak, p.p. sędziowie, należący do kliki artystycznej, wyłączyli od udziału w konkursie Kurzawę, to jest tego właśnie rzeźbiarza, który swym „Mickiewiczem budzącym geniusza” dowiódł, bądź co bądź, że posiada prawdziwy, oryginalny talent.

Jest to zapewne drobna ale dotkliwa zemsta za to, że artysta obraził Towarzystwo zachęty sztuk pięknych i p.p. estetyków warszawskich. Lepiej żeby Moniuszko nie miał dobrego pomnika, byle tylko niesforenego rzeźbiarza ukarać. Nie, widocznie nie mamy szczęścia do pomników i powinniśmy odłożyć stawianie ich do innych czasów, poprzestając na monumentach z czekolady.

Z KRAJU.

Różnice temperamentu dwóch pism.—Frazesy patryjotyczne i słowa prawdy.—Handel prowincjonalny i pretensyje *Izraelity*.

Do niedawna w guberniach lubelskiej i radomskiej wcale nie było słyhać o emigracji do Brazylii, obecnie obie gazety miejscowe, jeżeli nie o wychodźtwie, to o przygotowaniach do wędrówki za morze piszą. Zwłaszcza *Gazeta radomska* dużo o tem mówi, daleko więcej aniżeli koleżanka jej, *lubelska*, co zresztą może z różnicy temperamentu tych pism wynika. Bo oto np. z powodu wylewu Wisły *Gazeta radomska* odrazu naglić zaczęła korespondentów o wiadomości, zamieszczała telegramy i buletyny o wysokości wody i t. d. Na czytelniku robiło to wrażenie, jak gdyby straszna powódź groziła gubernii radomskiej. Tymczasem rozważna i flegmatyczna *Gazeta lubelska* zamieściła tylko treściwą wiadomość z Nowej Aleksandry, że woda przybiera stosunkowo nieznanie i wylewu większego nie będzie. Ponieważ Wisła płynie na pewnej przestrzeni między temi dwiema gubernijami, zapewnienie to uspokaja nas, że, mimo alarmujących ostrzeżeń, w gubernii radomskiej również wielkiego wylewu nie było i nie będzie. To samo powiedzieć można o emigracji. *Gazeta radomska* chwytła wszelkie wieści, a w braku ich powtarza nawet nieostrożnie takie plotki, jak opowiadanie o jakiejś Kasi z Bobrownik, która jakoby wyjechała przed paru laty do Brazylii ze szwaczką radomską, a po śmierci tej szwaczki odziedziczyła klejnoty i znaczną sumę pieniędzy. Czyż *Gazeta* naprawdę wierzy, że „biedna szwaczka radomska w niedługim czasie doszła do bogactw, kamienicy, majątku ziemskiego i klejnotów”, jak również, że Kasia to

wszystko odziedziczyła i ze skarbem wróciła do Bobrownik? A jeżeli nie wierzy, to dla czego takie brednie powtarza, nie dodając nawet komentarzy; przecie różni ludzie gazetę czytają, a pomiędzy nimi i tacy, co w historyję cudowną o szwaczce i Kasi uwierzą, bo to „drukowane czarno na białem.”

Pomimo nawoływania korespondentów, aby o wszelkich objawach gorączki emigracyjnej donosili, pomimo skrzętnego zbierania wiadomości a nawet pogłosek, pomimo zapewnień, że „perswazyje, odwodzące lud i warstwy robotnicze od Brazylii, wobec niezmiernie sprytnej działalności agentów, nie odnoszą skutku” —dojrzeć nie można w tem wszystkim, co *Gazeta radomska* pisze—jakichś poważnych zapowiedzi wychodźstwa w większych rozmiarach. Zapewne tu i owdzie ludzie o Brazylii gadają, ten i ów się wybiera, ale o całej gubernii można będzie powiedzieć to samo, co *Gazeta* mówi o Stanisławicach, tylko bez końcowego frazesu: „zdaje się jednak, że wychodźstwo to skończy się ne wyemigrowaniu paru jednostek, pozbawionych miłości ziemi rodzinnej! (tak).

Już to wogóle, jak się obecnie dowodnie okazuje, rozmiary ruchu emigracyjnego znacznie w prasie naszej przesadzano. Ludzie nie mają pojęcia o liczebności wielkiego tłumu, kiedy nawet widzą go naocznie. Uczestników każdego dużego pogrzebu reporterzy rachują dziesiątkami tysięcy i podają nieraz 50, 60 tysięcy wtedy, kiedy w rzeczywistości 10-u tysięcy nie było. Tymbardziej trudno określić nawet w przybliżeniu rozmiary ruchu, który odbywa się na wielkiej przestrzeni i w różnych odstępach czasu. Przed paru miesiącami, opierając się na urzędowych wykazach statystycznych rządu brazylijskiego, wyliczyłem, że w r. z. przybyło do Brazylii około 20 kilku tysięcy emigrantów z Rosyi, a najwyżej 30,000. Tę ostatnią cyfrę podałem dla tego głównie, że pisma niektóre mówiły o 80 a nawet 100 tysiącach wychodźców, więc wobec tych twierdzeń należało coś przyrzucić, aby uniknąć możliwej omyłki. Według danych statystycznych niemieckich z Bremenu, zkad wyłacznie prawie wyruszają nasi emigranci, wyjechało do Brazylii z górą 30,000 osób, ale w tej liczbie oprócz poddanych ruskich znajdują się też austriacy i niemieccy. Rzecz ciekawa, że w roku zeszłym do Stanów Zjednoczonych i innych krajów zamorskich przeważnie z Królestwa i gubernij zachodnich, a zwłaszcza kowieńskiej, prawie dwa razy więcej aniżeli do Brazylii wyemigrowało ludzi, bo około 50,000. Ale o tej emigracji nikt nie mówi, kiedy o wychodźtwie do Brazylii tyle narobiono hałasu. Dane urzędowe, zebrane przez władze administracyjne w Królestwie, określają liczbę zeszłorocznych wychodźców do Brazylii na 16,000. Z dyjecezyi płockiej według wykazów, sporządzonych przez proboszczów wyemigrowało 4 tysiące kilkuset ludzi, dyjecezyja ta zaś obejmuje całą gubernię płocką i kilka powiatów łomżyńskiej. Cyfry, zebrane przez władzę duchowną, odpowiadają cyfrom, dostarczoną przez władze świeckie, ogólna liczba wychodźców, według wiadomości urzędowych, odpowiada liczbie przybliżonej, opartej na danych statystycznych niemieckich i brazylijskich. Słowem, wszystkie źródła są mniej więcej z sobą zgodne, zdaje się więc, że omyłki być nie może. W każdym razie nie ma wątpliwości, że rozmiary ruchu emigracyjnego znacznie przesadzono, co się tem tłumaczy, że objaw ten społeczny był nam prawie nieznan, gdyż dotychczas z Królestwa nie było masowego wychodźstwa. Jeżeli przyjmiemy, że do Brazylii i Stanów Zjednoczonych wyemigrowało w r. z. z Królestwa 30, a nawet 40,000 ludzi, to cyfra ta stanowi dopiero 0,4 — 0,5% ludności kraju, normalny odsetek emigracji angielskiej jest o wiele wyższy, jak również włoskiej, a niemieckiej nieco tylko niższy.

Podkreśliłem poprzednio frazes *Gazety radomskiej* o „jednostkach, pozbawionych miłości ziemi rodzinnej”. Jeden z korespondentów, zapewne niechętny, daje admonicję pismu w tych słowach: „Chłop zawsze tak jest przywiązany do miejsca urodzenia, że nawet do sąsiedniej wioski niechętnie i tylko z konieczności się przenosi, jest ona już dla niego „zagranicą”. Nawet służący woli brać mniejsze wynagrodzenie, aby tylko w swej wsi pozostać”. Jeżeli chłop dziś emigruje, to dla tego że nie może, czy nie umie w danych warunkach dać

sobie rady, kuszony obietnicami, straszony bajkami, że za chrzest w kościele 25 rubli trzeba będzie płacić, jak sama *Gazeta* twierdzi „i-dzie do Nowej Polski”, o której mu agenci cuda-dziwy opowiadają. Dla określenia przyczyn emigracji należałoby raczej chociaż pobieżnie przyjrzeć się tym warunkom ekonomicznym i społecznym, które bezpośrednio lub pośrednio ją wywołują, tymczasem *Gazeta radomska* nie podaje żadnych prawie danych o położeniu ludności wiejskiej, zwłaszcza bezrolnej, oraz o położeniu proletariatu wiejskiego, ale kręci się tylko w kółku ogólników i tłómaczy wychodźstwo brakiem przywiązania do ziemi rodzinnej. Przynajmniej w tak poważnej sprawie można byłoby zaniechać wykrzykników taniego patryjotyzmu. Dobrą odprawę takim frazesom daje p. Witold Tarcza, autor dosyć obszernego artykułu p. t. „Ceny robotnika w gubernii lubelskiej”, zamieszczonego w miejscowej *Gazecie*.

„Nie idzie bowiem zatem, żeby chłop nasz, dlatego tylko, że nie umiera z głodu, nie będzie chciał opuszczać kraju, gdy mu przedstawia, że za morzami garściami zbierać będzie złoto, że chleb biały, pieczenie i pierścienie, spływać na niego będą bez pracy i troski.

Bo i czego to się nawet dziwić!?

W ostatnich czasach zakrzętnięto się trochę żywiej w sprawie organizacji drobnego handlu na prowincyi, po wsiach i miasteczkach. Inicyjatywa wyszła, jak się zdaje, od właścicieli sklepów. Rzecz dziwna jednak, że organy prasy prowincjonalnej, które w danym razie mogłyby być najlepszym źródłem informacyjnym, zachowują w tej sprawie milczenie. Byłoby bardzo pożądanym mieć przynajmniej z kilku gubernij wiadomości o liczbie sklepów i sklepików chrześcijańskich, dajmy na to, w ciągu 10 lat założonych, o przybliżonej sumie obrotu, o właściwościach handlu itd. Ale u nas wiadomości tego rodzaju zebrać nader trudno, bo nie tylko właściciele sklepów ale i osoby postronne uważają to za sprawę prywatną, do której wtrącać się nie wypada. Trzymamy się jeszcze tej zaściankowej zasady, że interes, żeby szedł dobrze, musi być prowadzony w tajemnicy, że ujawnienie biegu jest szkodliwym. Przykłady instytucyj udziałowych, które ogłaszają dosyć szczegółowe sprawozdania, a pomimo to rozwijają się pomyślnie, powinnyby, zdaje się, przekonać zwolenników tajemnicy handlowej, że jakkolwiek w pewnych wypadkach musi być ona utrzymana, to jednak wiele z tego, co dzisiaj chowamy w sekrecie, może być ujawnionem. Zakładanie stowarzyszeń spożywczych nie jest tak ułatwionem, jakby należało, pomimo to, liczba ich wzrasta. Równie pomyślnie rozwijają się sklepy spółkowe, czyli raczej udziałowe. Stowarzyszenie spożywcze w Suchedniowie miało w r. z. 80,000 rs. obrotu, także stowarzyszenie w Kielcach 100,000 rubli. Sklep udziałowy w Skalbmierzu wykazał 18,000 rubli obrotu, w Proszowicach 24,000, w Pińczowie—25,000, w Kazimierzy 30,000, w Okszy 30,000, w Jędrzejowie—23,000, w Słomnikach 35,000, w Stopnicy 40,000, wreszcie założony niedawno przez kilku obywateli powiatu miechowskiego sklep spożywczy, z kapitałem 3,000 rs. miał już w roku zeszłym 30,000 rubli obrotu. Niezależnie od powyższych przedsięwzięć udziałowych powstają coraz liczniej drobne sklepiki chrześcijańskie po wsiach i osadach.

Razem wszystkie te sklepy i sklepiki, jeżeli jeszcze dołączymy do nich stowarzyszenie spożywcze *Nadzieja* w Dąbrowie, z obrotem 140,000 rs. stanowią poważne przedsiębiorstwo. Nie potrzeba tu jakiejś szczególnej centralizacji, wystarcza, aby wszystkie sklepy robiły zakupy wspólnie. Taka reprezentacja, czy agentura sklepów prowincjonalnych, robiąca na milion rubli zakupów rocznie, może już otrzymywać towar z pierwszej ręki, od fabrykantów lub z zagranicy, omijając nawet kupców hurtowych, przeważnie żydów, solidarnie ze swymi współwyznawcami związanymi. Ustępstwa, pozyskane przy kupowaniu towaru z pierwszej ręki, znacznie mogą obniżyć jego cenę, co będzie najskuteczniejszą bronią w walce konkurencyjnej z handlarzami-żydami. Nie ma kwestyi, że ani obniżenie ceny towarów, ani rozwój stowarzyszeń spożywczych, nie stworzą rajy ekonomicznego. Ale jest w tej sprawie punkt jeden nader ważny, a zwykle w rozprawach pomijany. Klasa handlująca u nas jest stosunko-

wo dwa razy liczniejszą, aniżeli w Anglii, a prawie trzy razy w porównaniu z Francją. Tych zbytecznych nawet w dzisiejszych warunkach ekonomicznych pośredników warstwy pracujące społeczeństwa utrzymywać muszą—bo i oni żyć potrzebują. Otóż jeden sklep porządnie prowadzony może zabić przynajmniej z 10 kramików drobnych. Co zrobią właściciele tych sklepików, to nas, co prawda, nie wiele obchodzi; co zrobić muszą i wziąć się do jakiejś pracy, wemigrować i t. d. jeżeli z głodu umierać nie zechcą. Szanowny *Israelita* utrzymuje, że żydzi są również dziećmi tej ziemi, że od 10 wieków na niej mieszkają, żyć tu chcą i mają prawo, nikomu ztąd rugować ich nie wolno. Za pozwoleniem, a raczej bez pozwolenia. Niewątpliwie żydzi mieszkają u nas od 10 wieków, czy jednak fakt ten daje im jakiegokolwiek prawa do tej ziemi? Czy użyźniali ją swoim potem, czy przyczyniali się swą pracą do nadania jej wartości? Czy to żydzi trzebili puszcze, osuszali bagna, uprawiali ziemię, wydobywali z jej wnętrza bogactwa mineralne, budowali domy, kopali kanały, wznosili fabryki i w nich pracowali. Czy, jednym słowem, wzięli jakiegokolwiek udział w robocie, która stworzyła kulturę materyjalną narodu? Byli zawsze tylko pośrednikami, t. j. żyli z owoców pracy warstw produkujących i w tej samej roli występują również w dziedzinie kultury moralnej.

J. Nieborski.

Listy ze wsi.

IV.

Było to lat temu kilka, w tej porze, gdy pierwsze hasła i myśli pracy nad ludem dopiero kiełkować u nas zaczęły. Odwiedzałam wówczas często na przedmieściu jednego z naszych prowincjonalnych miasteczek, p. Tomasza, starca skołatanego życiem i licznymi nieszczęściami. Człowiek ten, nadzwyczaj uczuciowy, zdziwaczał na starość, jak utrzymywała opinija ogólna. W rzeczywistości zaś posunął on tylko religijność do mistycyzmu. Zaden ksiądz chyba nie wprowadzał tak w życie najpiękniejszych zasad chrystyanizmu, jak ten pocieszyciel strapiionych i ubogich. Lubiłam izdebkę jego niedużą, obstawioną wielkimi szafami, pełnemi książek. od których ponury półmrok padał na zboląłą twarz starca. Życie i troska wykuły mu oblicze, w którym każda zmarszczka była historiją przebytego bólu. Znajomość moja z panem Tomaszem była tak blizką, że nieraz godzinami całemi przebywałam w jego pokoiku, czytając lub też przypatrując się z okien słońcu i rozległemu krajobrazowi. Gdyśmy raz sobotnim wieczorem oboje siedzieli w milczeniu, na tle zachodzącego słońca ukazała się przed gankiem sylwetka młodego wieśniaka.

— Czy widzisz?—powiedział p. Tomasz—od paru już minut przechadza się tu pod oknami człowiek jakiś i zaręczam, że wejść nie śmie. Oto ilustracja naszej cywilizowanej równości!

Uśmiechnęłam się na to gderanie starca, bo i cóż w tem jest dziwnego, że chłop, ze swoimi zabłoconymi butami wstydzi się wejść do czysto wyfroterowanych pokojów? Tymczasem gospodarz mój wyszedł na ganek i po chwili wrócił z nieznanym wieśniakiem. Był to mężczyzna w sile wieku, pięknie zbudowany, o śniadej, gładkiej cerze bruneta, głębokich, marzycielskich oczach i kształtnej czaszce, krótko podstrzyżonymi włosami pokrytej. Chłopskie jego ubranie nosiło na sobie cechę rzadkiej u wieśniaków schludności.

— Niech będzie pochwalony!—rzekł, schylając się nisko.

— Na wieki wieków!—odpowiedział p. Tomasz, podając mu rękę. Chłop, zdziwiony widocznie takim powitaniem, chciał rękę jego do ust ponieść, ale starzec, wyrwawszy mu ją, zawołał porywczco:

— Widać, że pan po raz pierwszy do mnie przyszedł, gdyż w innym razie, wiedziałbyś, że człowiek nie powinien się poniżać. Nie możesz też mieć dla mnie szczególnego szacunku, bo nie znasz mnie jeszcze.

Wieśniak stał czas jakiś zmieszany, w koń-

cu, przewyciężając widocznie wrodzoną swoją nieśmiałość, odezwał się przytłumionym głosem entuzjasty:

— „Panie! z tego, com od ludzi o nim słyszał, znam go dobrze i wiem, żeś godzien największego szacunku”.—Usłyszawszy takie odezwianie się, tak poprawnym wypowiedzianem językiem, zwróciłam zdziwione oczy na niezwykłego chłopca, a i w spojrzeniu p. Tomasza malowała się ciekawość. Odłożył jednak widocznie na później zapytania, prosząc gościa uprzejmie, aby spoczął.

Wieśniak nie przyjął jednak ofiarowanego mu krzesła. — „Dziękuję, bardzo dziękuję” — bełkotał zmieszany. — „Ja usiądę, lecz trochę później, teraz jestem jeszcze zanadto!” — tu gościem tylko pokazał swoje wzruszenie. Muskulę twarzy drgały mu nerwowo, a na czole błyszczała parę kropel potu. Z początku przechadzał się, pocierając ręką o rękę, wreszcie zatrzymał się i, ulegając widocznie potrzebie wypowiedzenia się, zaczął głosem urywanym:

— O, bo widzi pan, wierzyć mi się nie chce, że trafił nakoniec do pana... Wyszedłem z domu o świcie, i błądząc, szedłem wciąż... dzień cały. A już od pół roku żyję tylko tem i tylko nad tem przemysłiwam, jakby się to dostać kiedy do pana... A teraz... — i znowu urwał, rozpatrując się wokół, jak gdyby chciał sprawdzić, że zmysły go nie mylą, że w istocie znajdują się w tak bardzo przez siebie upragnionem miejscu.

— O, bo pan nie uwierzy, jak to dla człowieka ciemnego dziwnie wiedzieć, że ktoś uczony zechce rozmówić się z nim, jak z równym...

Nie wiem, czy uczucie zażenowania jest rzeczą zaraźliwą, muszę jednak przyznać się, że po tem powiedzeniu wieśniaka, zrobiło się nam obojgu z p. Tomaszem jakoś, jak to mówią, nijako.—Najpierw nie jestem wcale uczonym, a powtóre nie wydajesz mi się pan tak nieoświeconym, jak o tem mówisz — przerwał p. Tomasz niemile nas dręczące zakłopotanie.— Nawet język pana, bardzo poprawny, świadczy o tem, że musiałeś pracować nad sobą i czytywać nie mało.

— Doprawdy? pan sądzi, że mówię poprawnie?—pytał nieznajomy, a twarz jego pokryła się rumieńcem zadowolenia.

— Ale musisz pan być ogromnie głodny i zdrożony. Proszę siadać!—odezwał się p. Tomasz, wołając, aby podano wieczerzę.

— Nie jestem nawet zmęczony—odezwał się wieśniak, siadając na brzeżku krzesła—u nas to rzecz zwyczajna cały dzień być na nogach. Ale zapomniałem o najważniejszej powiedzieć panu rzeczy, t. j. jak się nazywam i z kąd przychodzę. Proszę za złe mi nie brać mego roztargnienia. Przez drogę układałem sobie to, o co miałem radzić się pana i pytać, a teraz sam nie wiem od czego zacząć...

— A więc nazywasz się pan?—dopomógł mu p. Tomasz.

— Imię moje i nazwisko Muskiet Jan, pochodzę z Dużej Wólki. Brata mego starszego ojciec chciał wykierować na księdza. Chłopak nawet pięknie się uczył, ale został tylko pisarzem i umarł młodo, pozostawiając po sobie dużo pięknych książek. Spisałem wszystkie pozostałe po bracie dziełka, żeby pan wiedział, com już czytał i czegom się uczył!—Tu wyjął z zanadru kartkę papieru, z której wyleciała fotografia młodego mężczyzny, podobnego trochę do Jana, ale ubranego już po miejsku.

— To brat mój... Przyniosłem też ten portret, aby go panu pokazać.

— Szkoda, że umarł tak młodo!—wykrzyknęłam—przypatrując się fotografii.

— O, Pan Bóg wielką rodzinie naszej wyrządził krzywdę, zabierając go tak wcześnie do chwały swojej—rzekł pobożnie wieśniak.

— A dużą macie rodzinę?—pytaliśmy zaciekawieni.

— Mam ojca, brata małego, żonę i synka. Ojciec stracił dużo pieniędzy na wychowanie starszego brata, więc teraz pracować musimy ciężko, bo chociaż posiadamy gruntu 22 morgi, ale ziemia jest piaszczysta i nieurodzajna. Ojciec się markoci, że ja długo wieczorami nad książką siaduję, mówi, że potem nie mam takiej siły do pracy. Ot, i tu do pana ledwom się wyprosił.

— Więc tak słuchacie ojca we wszystkim?—pytał p. Tomasz.

— Przecież Pan Bóg nam kazał czcić ojca i matkę—odparł Jan surowo.

— A któraż z tych książek podobała się panu najwięcej?—zagadnął go znów starzec, przeglądając spis kilkunastu dziełek rozmaitej wartości. Oprócz kilku nędznych powieści, znajdowało się parę książek bardzo cennych dla samouka do takich należały historyje: obszerna geografia i encyklopedyja. Jan jednak wskazał palcem tam, gdzie następujące wypisane stały wyrazy: „Poezyje Adama Mickiewicza tomów 2, w oprawie” i rzekł:

— Nad tę książkę żadna już chyba bardziej podobać się nie może.

— I nie zatrudne to dla pana czytanie?—pytaliśmy coraz bardziej zdziwieni.

— Niektórych wyrazów zrozumieć nie mogę, ale myśl, zdaje mi się, że zawsze uchwycę.

Na twarzy p. Tomasza głęboka zarysowała się zaduma.

— Czemu jednak mam przypisać to, żeście mnie odwiedzić tak pragnęli, panie Janie?—zapytał wreszcie swego gościa.

— Słyszałem,—odpowiedział— że pan pożyczka książki do czytania, a jam już wszystkie, pozostałe po bracie, odczytał oddawna. Na kupienie nowych pieniędzy nie mam, a państwo zazdrośni są o swoje książki. Wprost—prosić ich nie śmiałem, próbowałem jednak innych sposobów. Pożyczałem naprzykład swoje książki nauczycielowi i aptekarzowi z poblizkiego miasteczka. Sądziłem, że się domyślą i użyczą mi choć jedną na próbę. Omyliłem się jednak...

— Ach i jeszcze—ciągnął dalej wieśniak— przyszedłem zapytać się pana, jak nauczać innych? co im mówić i czytać, żeby ludzie z wioski mojej stali się lepszymi? Nie chwyląc się, zrobiłem już trochę. W niedzielę i święta przychodzi do mnie liczna gromadka ludzi. Tam czytam im i mówię o rzeczach, które każdego człowieka zająć powinny. Dziś niektórzy słuchają mnie już z zajęciem, ale z jakimże do tego przyszedłem trudem! Początkowo zapraszałem ich na papierosy. Wszyscy tak lubią palić, że papierosem można zjeść każdego.

Obecnie mam już kilkunastu, którzy rozumieją, co do nich mówię, i czują potrzebę oświaty, ale jest jeden tylko taki, co to sercem myśli już moje zgaduje. Z tym jestem, jak z bratem, znalazłem w nim najlepszego przyjaciela. Sam nauczyłem go czytać i pisać, a dziś każdą dzielimy się myślą. W wiosce naszej ludzie są lepsi, niż w wielu innych. Ot, nie dalej jak o parę wiorst od nas leży ogromna wieś Bagnisko: tam jest siedziba złodzieiów i pijaków. Serce mi się ścisnęło, gdym słyszał, jak tam źle się dzieje; a że to niezbyt daleko, chodziłem tam co sobotę z paczkami papierosów i książek. I cóż pan powie? Gdy tak raz szedłem o zmroku, spotkałem dwóch ludzi, którzy właśnie wysmiewali się ze mnie, że noszę się z tą moją oświatą, jak kot z pęcherzem, przedrzeźniali mowę moją i ruchy. Wróciłem do domu i o małym nie płakał z żalu.

— I już nie poszedłeś pan tam nigdy?—zapytał pan Tomasz.

— Cóż chce pan? oni nie przez złość to zrobili, tylko przez nieszczęście i ciemnotę. Parę tygodni nie byłem w Bagnisku, wreszcie czwartę soboty poszedłem znowu...

Spojrzałam na pana Tomasza i siedzącego przed nim wieśniaka. Obecnie role się zmieniły. Jan był spokojny, oblicze zaś starca drgało wzruszeniem. — „Synu mój!”—rozpoczął jakąś mowę długą i szeroką, ja jednak nie słyszałam już słów jego. Myśl moja pracowała nad rozwiązaniem trudnej zagadki, z kądem mogła wśród ciemnoty i opuszczenia zjawic się jednostka z takim sercem i inteligencyją, jak Jan Muskieta? Umysł mój, nie mogąc zgodzić się z tak niespodziewanym zjawiskiem, począł doszukiwać różnych szczegółów i szczegółików, które miały mi ukazać ciemniejszą stronę duszy wieśniaka. Miałam zamiar przeprowadzić sumienną indagacyję, lecz pomimo mej woli rozmowa zmieniła się na pełną szczerości wymianę myśli.

Pierwsze promienie różowej zorzy zabłysły na niebie, a myśmy jeszcze nie skończyli naszej gawędki. Jan pierwszy powstał ze słowami pożegnania: ojciec dał mu tylko urlop do niedzieli wieczór. Odszedł więc, nie kładąc się spać tej nocy.

Patrzałam długo na nienacką w oddali sylwetkę tego chłopca — i zdało mi się, że po tą pojedynczą postacią w świetle nowo powstającej zorzy widziałam innych tysiące, budzących się do walki z samolubstwem, zwątpieniem i ciemnotą...

W. K. Szczęsna.

Przegląd społeczny.

Z Łomżyńskiego. (Kor. „Głosu”). W 5-tym numerze *Głosu* spotkałem z Łomży korespondencyję w której autor opisuje życie miejskie młodzieży. Jako mieszkaniec wsi, chciałbym przedstawić czytelnikom sposób życia naszej wiejskiej młodzieży, w którą zapewne żadne okolica tak nie obfituje, jak nasza. W promieniu mniej więcej trzech mil od Łomży mamy dużo bardzo młodych ludzi, bądź to posiadaczy większej lub średniej własności, bądź to dzierżawców. Panowie ci uprawiają po większej części grę w karty, polowania, obecnie zaś najwięcej czasu poświęcają goszczącej w Łomży trupie dramatycznej. Teatr bawi nas przeważnie operetkami, na których bywa pełno; na dobrej komedii lub dramacie—puszki. No, my tak zwykle. Młodzież do teatru uczęszcza licznie. Gdy przyjedziesz do miasta, spotkasz na pewno tych panów w wesołym towarzystwie wędrownych aktorów. A czy też którzy z tych panów zapytał się swego parobka: czy otrzymał ordynaryję, lub kwartalną pensyję? Wątpię, na to niema czasu, ale tak za małą winę „lunać go w pysk”, lub kopnąć nogą—o tem zawsze jakoś pamiętają. — Lepiej daleko spędza czas reszta naszej okolicznej inteligencji. Zawiązała się tu ruchoma czytelnia. Piętnaście rodzinnych domów ofiarowało po 10 rubli rocznie na zakupienie książek, które po roku zostaną rozlosowane. Wyborem książek zajmują się trzy osoby, wybrane z tegoż grona. Książki mają być przeważnie treści poważnej. Czy tylko tak poważny pokarm literacki na czcze żołądki za 150 rs. dostarczony, zostanie zdrowo przetrawiony? Może na początek zdrowiej by było na poważne książki poświęcić połowę tej sumy. W każdym razie nowej czytelnicy należy życzyć powodzenia i dobrze by bardzo było, gdyby znalazła naśladowców.— Wyszło z druku sprawozdanie z czynności kasy pożyczkowej przemysłowców łomżyńskich za rok 5-y istnienia. Remanent na r. 1891 wynosi rs. 22,577 k. 37. Kapitał udziałowy, będący własnością członków, których było w końcu z. r. wynosił 22,921 rs. 29 k. W ciągu roku kasa udzieliła pożyczek 429 na sumę rs. 253,090. Czysty zysk przedstawia się w sumie rs. 6,829 k. 86. Na administracyję wydano rs. 1,701 k. 11.—W Łomży zawiązało się towarzystwo muzyczne. Czy długo egzystować będzie, przewidzieć nie podobna. Oby choć nie powiodło się nowemu towarzystwu tak szczęśliwie, jak temu, które przez intrzygi pewnej osobistości przed 6-ciu laty musiało się rozwiązać. *Rodak.*

Garwolin. (Kor. „Głosu”). Garwolin jest jednym z najbardziej głuchych miasteczek w Królestwie. Po za obrębem gub. siedleckiej mało kto słyszał o nim i słyszy. Ponieważ dotychczas nie spotykałem w pismach korespondencyi z tego kąta, śpieszę więc donieść wam o naszym życiu i biedzie. Garwolin jest miastem żydowskim. Żydzi jak wszędzie, tak i tutaj, trudnią się lichwą i drobnym handlem. Mieszczanie zajmują się głównie wyrabianiem kozuchów, które następnie zbywają w Łowiczu. *H—icz.*

Mława. Korespondentom gazet ziemiańskich niepowodzenie emigrantów dodaje otuchy. Jeden z nich pisze do *Gaz. Warsz.*: „Mam do zanotowania doniosły fakt, który wywiera na gorącą brazylijską uśmierającą wpływ i najskuteczniej może wstrzymać emigracyję naszego ludu. Władze pruskie od dni kilku całemi partjami odstawiają na komory: Mława, Mławka, Peplówek, Zieluń i inne emigrujących włoscian, nie posiadających pasportów, ani odpowiednich funduszów na podróż do Brazylii. Niektóre partyje z Berlina zwrócone zostały. Areszty w Mławie przepelnione są cofniętymi emigrantami. Ze wsi, bliżej granicy pruskiej położonych, rozpoczęła się już bowiem gromadna obalaniec obalaniec ludu, pociągając swym przykładem braci z dalszych okolic i zagrażając wyludnieniem całym osadom. Energiczne wystąpienie władz pruskich skuteczniej oddziało na wstrzymanie emigracyi od wszelkich przedstawień i nawoływań prasy i ludzi dobrej woli, którym zfanatyzowany lud wiary dawać nie chciał.—Do *Wieku* znów ktoś z tych samych okolic donosi: „Obłęd emigracyjny od kilku już tygodni zabiera coraz nowe ofiary. Codziennie prawie wdziedle można całe rodziny z głębi kraju dążące do Brazylii. Są to niesłuchający niczyich rad i przestróg maruderzy, którzy zeszłoroczne

opóźnienie pragną sobie jak najprędzej wynagrodzić. Spodziewany powrót liczniejszy emigrantów z Brazylii, przynajmniej po jednym z każdej gminy, ostatecznie chyba temu koniec położony. Obecnie wskutek listów, donoszących o nędzy, w jakiej znajdują się emigranci, nikt już o Brazylii nie myśli. Wybierali się tylko i dążyli, i to sami mężczyźni bez rodzin, do Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej. Zda się jednak, że aresztowania wszystkich nowoprzybywających bez pasportów, zarządzane teraz w Prusach, i temu zapobiegną. Z kilkudziesięciu bowiem ludzi wyszłych w zeszłym tygodniu z sąsiednich wsi i osady Radzanowa już wszyscy zostali zwróceny z różnych stacyi kolejowych pruskich, a nawet z Bremy. Każdy stracił najmniej 25 rubli, a niektórzy trzy razy tyle. Zwykle wychodzą, udający się do Ameryki zabiera z sobą około 100 rubli, zebranych najczęściej kosztem zmarnowanego mienia i czasu. Jeżeli przytem jak slychać, będą pociągnięci do odpowiedzialności sądowej za przejście granicy bez pasportu, spodziewać się należy, że i o Ameryce myśleć przestaną. I wszystko do normalnego powróciłoby stanu, gdyby jeszcze nie wchodziły tu w rachunek Prusy, dokąd się na roboty letnie masami ludzie wybierają — a gdzie zapewne wtedy na brak pasportów zważać nie będą. Należałoby o tem pomyśleć.“ To „należałoby o tem pomyśleć“ jest kolosalne.

Chelm. W *Gaz. Warsz.* czytamy: „Dnia 2 b. m. w Chelmie podczas nabożeństwa rannego w kościele katolickim, kiedy ks. Szymański rozpoczynał konsekracyję, podbiegł do ołtarza mieszczanin tameczny Franciszek Dyzbowski, porwał kielich i cisnął go na ziemię. Inny mieszczanin chelmski, Karol Simiński, podbiegł i chciał zatrzymać Dyzbowskiego, lecz ten silnie go uderzył i wyszedł z kościoła. Po przeprowadzeniu śledztwa okazało się, że Dyzbowski cierpi na zboczenie umysłowe i z tego powodu będzie odesłany do lubelskiego szpitala miejskiego“.

Z CESARSTWA.

Wilno. (Kor. „Głosu”). Wśród introligatorów tutejszych powstała myśl zsolidaryzowania się i otwarcia zbiorowemi siłami pracowni. Inicyjatywę dali szwecy, którzy założyli towarzystwo z 20 osób i wspólną pracownię. Brak środków na kupno niezbędnych materyjałów zmusza biedniejszych rzemieślników do zaciągania pożyczek u zamożnych kolegów introligatorów, lub też właścicieli drukarni. Wierzyciele prac swych dłużników dorabiają się zwykle majątku. Przez założenie towarzystwa wzajemnej pomocy, introligatorzy mają nadzieję poprawić swój los i wyzwoić się ze zbyt czulej opieki wierzycieli. Jest to fakt pocieszający, dowodzący, że rzemieślnicy zaczynają poważniej zapatrywać się na swoje potrzeby. *P.*

Grodno. (Kor. „Głosu”). Ciekawe dane o położeniu chłopów w Grodzieńskim spotykamy w miejscowej gazecie urzędowej. Chłopi do tego stopnia rozdrabniają swoje działki, że ledwie 50% zachowało dotychczas grunta w całości. Większość ma tylko 1 lub 2 zagony przez całą długość pola. Jest wielu takich, którzy z gospodarzy zeszli na bezrolnych parobków. Na dwóch zagonach chłop żyje bardzo nędznie, zbiory wystarczają mu zaledwie do Nowego Roku; na przednówku żywi się kartoflami. Przy takim stanie rzeczy chłopi chętnie dzierżawiliby grunta dworskie, lecz i na tem polu uprzedzili ich żydzi przy pośrednictwie t. z. „kułaków”, chrześcijan. Chociaż prawo zabrania żydom dzierżawić ziemię, jednak faktycznie są oni dzierżawcami, i to na wielką skalę. Prawo w tym wypadku złemu w zupełności nie zapobiega, gdyż wobec niego dzierżawca żyd jest w zupełnym porządku. Powiat kobryński, a szczególnie majątki, położone w okolicach Antopola, Horodcza, dają nam świetny przykład tych stosunków. W innych powiatach dzieje się podobnie. Wszystkie majątki, dzierżawione przez żydów, chłopi uprawiają prawie za darmo. Dzierżawca wkłada na chłopów masę obowiązków, które ci muszą wypełniać pod grozą utraty „trzeciaka”. Chłop obowiązany jest sprzątnąć zbioru, złożyć snopy w sterty, omdocić je i t. d., a żydzi krzywdzą go niemiłosiernie, zabierając sobie lepsze dwie części zbioru. Ceny na pastwisko podskoczyły tu znacznie; przed 3 — 4 laty płacono 1 — 2 rs. od sztuki, teraz najmniej 5 rs. *Omikron.*

Petersburg. Tutejsze towarzystwo trzeźwości ma zamiar założyć lecznicę dla przychodzących chorych imienia o. Jana Sergiejewa z Kronsztadu. Ten ostatni znany jest w całej Rosyi ze świętobliwego życia, masa osób przyjeżdża z najodleglejszych miejscowości do Kronsztadu dla otrzymania jego błogosławieństwa, na ulicy otaczają go zawsze tłumy.—Z inicyjatywy lekarzy miejscowych w większych wsiach gub. petersburskiej tworzą się komitety zdrowia publicznego, w których główny udział biorą nauczyciele i nauczycielki szkół ludowych.—W dziennikach tutejszych toczy się silna polemika o uchylaniu się żydów od wojskowej powinności. Ogłoszone niedawno cyfry urzędowe świadczą, że znaczna

ilość popisowych żydów nie stawiała się w r. z. do urzędów wojskowych. *Now. Wremia* piorunuje z tego powodu na żydów. *Nowosti* zaś dowodzą na podstawie tych samych cyfr, że liczba żydów, obowiązanych do wojskowej powinności, wskutek złego prowadzenia ksiąg ludności, jest większą od rzeczywistej, tak, że stosunkowo do ogółu ludności żydzi dają znacznie większy procent żołnierzy.—Na dorocznym posiedzeniu towarzystwa słowiańskiego p. Gorodeckij miał odczyt o Odyńcu. Prelegent wykazywał przywiązanie i sympatyje poety do Rosyi, które wyraziły się w wierszu na wjazd Cesarza Aleksandra do Wilna i w liście do pewnej rosyjanki, która była centrem towarzystwa ruskiego w Wilnie. Utwory te p. G. odczytał w oryginale i w przekładzie.—Cesarskie towarzystwo techniczne wysłało tego lata specjalnych instruktorów dla szerzenia ulepszonych sposobów wytwarzania śródm. „kustarów“ gub. petersburskiej.—Z początkiem wiosny rozpoczyna się też zwykle przesiedlanie włościan wewnętrznych gubernij Cesarstwa do Syberji. Większość tych emigrantów przechodzi przez Tiumeń. Od lat kilku istnieje w mieście tem prywatny komitet pomocy przesiedleńcom, którego fundusze pochodzą ze składek z całej Rosyi.—W ciągu r. z. przez Tiumeń przeszło 29.256 przesiedleńców, którym należało dostarczyć czasowe mieszkania, okazać pomoc lekarską a wielu dać nawet pieniędzy na dalszą drogę. W d. 1 maja, gdy komitet miał zaledwie 200 rs. w kasie, było już w mieście 1,500 przesiedleńców. W d. 20 t. m. było ich już 17,936. Komitet był w wielkim kłopotcie, baraki pomieścić mogły zaledwie 1,200 osób. Większość przesiedleńców musiała nocować pod otwartym niebem, a że wiosna była surowa, rozpoczęły się więc choroby. W ciągu roku sprawozdawczego zmarło 560 osób, z których 500 w ciągu maja i czerwca. Składki napływały do komitetu dość znacznie i wyniosły w ciągu roku 12,000 rs. Komitet był w możności przedsięwziąć budowę 2 nowych baraków.

Mińsk Gub. Podług sądowego sprawozdania, drukowanego w *Kur. Warsz.*, głośna sprawa morderców dzieci w Mińsku, przedstawia się jak następuje: Tutejszy sąd okręgowy z udziałem sędziów przysięgłych rozstrząsał sprawę żydów Szulkinów o uśmiercanie dzieci głodem. Według aktu oskarżenia, jeszcze w r. z. zawiadomiono władze policyjne, iż Szulkinowie trudnią się zabijaniem dzieci. Zrobiona w ich mieszkaniu rewizja potwierdziła w części to doniesienie. Znalezione dwoje niemowląt, dogorywających z głodu, w stanie zaniedbania. Śledztwo wykryło wkrótce całe to rzemiosło, jakim się od paru lat trudnili małżonkowie Szulkinowie, a głównie żona Leja. Oto za pewną opłatą, wynoszącą 20—30 rs., przyjmowali niby na wychowanie nieprawo urodzone dzieci izraelskie. Niemowlęta te karmione były tylko wodą, lekko ocukrzoną. Potwierdziłoby to liczne zeznania świadków i ekspertyza, zrobiona na trupach niemowląt. A dzieci tych przyjmowano wiele, po kilkoro nieraz tygodniowo przynosiła Szulkinowa do mieszkania. Dawała też przytułek u siebie brzemiennym dziewczętom izraelskim i namawiała je, aby swe dzieci zostawiały u niej. Niektóre z matek płaciły wyżej nad wspomnianą cyfrę z tym warunkiem, aby już o dziecku więcej słyszeć nie potrzebowały. Odnoszeniem trupów na cmentarz i potajemnym grzebaniem ich zajmował się zidyjocjały Nuchim Adlewankin. Płacono mu po 1 rs. od dziecka. Czynność tę załatwiał najczęściej w nocy. Wstęp na cmentarz ułatwiał krewny Nuchima, Gressel. Niekiedy też i sam Szulkin funkcję tę spełniał. Dowiedziono też, że Szulkinowie przyjęli raz do siebie dwuletnią już dziewczynkę, dotkniętą zaraźliwą chorobą. Dziecko to następnie zginęło bez wieści. Niektórzy świadkowie mówią, iż słyszeli, że dziewczynka ta wrzucaną została do przerebli. Dzieci więc u Szulkinów wymierały z górą 100 rocznie. Ze je chowano tajemnie, potwierdza i to, że rabin rządowy wydaje rocznie zaledwie 9—10 świadectw na pochowanie dzieci nieprawo urodzonych. Oburzające rzemiosło, jakim się zajmowali Szulkinowie, dawało im znaczne zyski. Zeznania świadków dowiodły, iż przedtem żyli w wielkiej nędzy, a z bogactwem się dopiero wówczas, gdy dzieci na wychowanie przyjmować zaczęli. Sędziowie przysięgli uznali Leję Szulkinową bezwarunkowo winną uśmiercania głodem powierzonych sobie dzieci. Dla Szlamy zaś Szulkina uznano łagodzące okoliczności. Skutkiem tego werdyktu wydano wyrok, skazujący oboje małżonków na pozbawienie praw i ciężkie roboty: Szulkinową na lat 15, jej męża zaś na lat 12.

Z ZAGRANICY.

Kraków. (Kor. „Głosu”). Trudność sytuacji parlamentarnej wyłania się dopiero dziś po zamknięciu akcji wyborczej we wszystkich krajach koronnych monarchii. Jeśli pewna niejasność i mglistość położenia zniewoliła rząd 6 tygodni temu do rozpisania wyborów do izby poselskiej i usunięcia Dunajewskiego, to obecnie można się spodziewać o wiele donioślejszych niespodzianek, gdyż trudności spiętrzyły się,

uniemożliwiając hr. Taaffemu lawirowanie między Scyllą i Charybdą dla stworzenia pewnej i stałej większości rządowej. Muszę przyznać, że „Czas” odgrywa w dzisiejszym dramacie organizacyjnym hr. Taaffego i Plenera poważną rolę. Mówił mi przed chwilą jeden ze znanych posłów, iż p. St. Koźmian przeprosił się z redaktorami „Czasu” i kieruje teraz z nad Dunaju poważną częścią polityczną tego dziennika. Pojawiają się też w nim codziennie biuletyny niby telegraficzne o stanie sytuacji wiedeńskiej, połączone z radami dla polskich posłów i wskazówkami, jakich się przysze koło polskie winno trzymać. Otóż p. Koźmian oświadcza się przeciw sojuszowi polaków z lewicą niemiecką w radzie państwa, co zaniepokoiło zarówno jego przyjaciela hr. Taaffego, jak i kandydata na ministra p. Plenera. Ostatni wyraźnie miał powiedzieć, że wobec nieudania się kombinacji polsko-niemieckiej (w parlamencie)—większości stałej utworzyć niepodobna. Hr. Taaffe, widząc, że Plener rezygnuje, postanowił, jak mówią, stworzyć prowizorycznie większość przypadkową, t. z. „*vom Fall zum Fall*”. Przy tej sposobności padnie ofiarą sytuacji kilku pp. ministrów. Ponoć, hr. Falkenhayn, minister rolnictwa, odstąpi swej teki p. F. Zaleskiemu, którego znowu na stanowisku ministra dla Galicyi zastąpić ma prezes koła polskiego, p. A. Jaworski. Ministrowie Bacquehem i Schönborn zostać mają namiestnikami w Galicyi i Pradze, a na ich miejsca wymieniają: Plenera i namiestnika hr. Badeniego. Gautscha, ministra oświaty, ma również zastąpić jakiś niemiec, podobno Lehmajer. Wszystko, com wyżej napisał, leży dotąd w sferze projektów i przypuszczeń, które rozstrzygnie urządowa „Wiener Ztg.”. Faktem jest tylko i to bardzo znamiennym, że stała większość parlamentarna jest w tej chwili niemożliwa.—Teraz wróćmy do Krakowa. Wicie już prawdopodobnie, że moje przewidywania co do pomnika dla Mickiewicza sprawdziły się. Rada m. Krakowa jednogłośnie (o dziwo!) uchwaliła wniosek r. m. Proppera, że pomnik winien stanąć na rynku głównym, a większością zatwierdziła wniosek r. m. Pieniążka, iż najodpowiedniejszym miejscem jest ós Sukiennic od ul. Siennej. W ten sposób po 10 latach zdecydowaliśmy się, gdzie postawić pomnik poecie, acz dotąd nikt nie wie, kiedy pomnik ten stanie, bo ex-komitetowi, z powodu nieudania się podstępnych zamysłów, zależy na przewlekaniu sprawy. Opowiadają, że hr. Żeździecki, otrzymawszy w Cannes telegram o uchwale rady, zemdłał—W mieście opowiadają teraz o wypadku, jaki spotkał komisarza tutejszego starostwa, p. Górskiego, który był czynnym przy wyborach krakowskich, oczywiście z ramienia rządu. P. komisarz, b. układny w życiu towarzyskiem, jest częstokroć szorstkim przy urzędowaniu. W ostatnich właśnie czasach naraził się redaktorowi „Reformy” d-rowsi Asnykowi, kilku wybitnym obywatelom, jak d-rowsi Barańskiemu i Dobiszyńskiemu, wreszcie będąc członkiem komisji wyborczej, obudził przeciw sobie nietaktem wielu znanych rękodzielników (między innymi kazał jednego aresztować). Wszystkie wybitniejsze fakty działalności p. Komisarza podniosła „N. Reforma” w artykule naczelnym, za co dziennik ten skonfiskowała prokuratoryja. Przypuszczano, że na tem się wszystko skończy, gdy nagle w ubiegły czwartek został p. Górski napadnięty o godzinie 9½ wieczorem przez niewiadomych ludzi i pobity. Pisma donoszą, widocznie na podstawie oświadczeń samego p. G., że napastnik miał go uderzyć, wołając: „masz za wybory”. Należy dodać, że p. Górski jest garbatym, wskutek czego, nie mogąc się należycie obronić, poniósł ciężkie obrażenia.—Nakładem „N. Reformy” ukazała się broszurka na czasie: „O uregulowaniu waluty” pióra współredaktora tego pisma p. Łokietka. Autor, nie mając pretensji do naukowej ścisłości i nie chcąc przeciążać broszury cytatami, napisał rzecz bardzo przystępną i wyjaśnił podstawy, na których oprzeć się ma niedaleka reforma naszej papierowej waluty. Widoczna predylekcja p. Łokietka do monometalizmu w złocie nie miała szczęścia podobać się „Czasowi”, który zachęca p. ministra skarbu do bimetalizmu. Wskutek tego wywiązała się cięta polemika między wrogami sobie piśmami, które dotąd walczyły tylko na polu polityczno-społecznym, a obecnie zeszły również na sporny grunt ekonomiczny.—Opróżniona przez ustąpienie d-ra Bobrzyńskiego posadę dyrektora archiwum akt grodzkich objął dr. F. Piekosiński.—Nasi artyści malarze wysłać przeszło sto obrazów na berlińską wystawę. Między innymi Malczewski posyła: „Introdukcję”, Tetmajer: „Wiejską rodzinę” i „Kolendników”, Chodźński (rzeźbiarz) „Fauna”, a Pruszkowski i Piotrowski cały cykl obrazów.—Teatr nasz wystawił dowcipną farsę Abrahamowicza i Roszkowskiego pt.: „Teść”, zapowiada zaś „Termidora” i piękny dramat Jana Kasprowicza, osnuty na tle eksterminacyjnej polityki pruskiej p. t. „Świat się kończy”.—Znany poeta Kazimierz Tetmajer wydaje tutaj zbiór swych poezyj.—

Świat lekarski krakowski poniósł dotkliwą stratę przez śmierć młodego uczonego d-ra Józefa Hempla, asystenta zakładu anatomii patologicznej. *Vox.*

L w ó w. (Koresp. „Głosu”). Mówią tu głośno, że poseł Lewakowski wyzwał na pojedynek p. Szczepanowskiego, z powodu obelżywych zarzutów, jakie tenże uczynił p. L. w swym „liście do wyborców m. Lwowa”, (patrz nr. 11 *Głosu*). Krążą również wersyje, że p. S. pojedyнку nie przyjął i ma sprawę polubownie z posełem Lewakowskim załatwić.—W „Kole lit-art.” „wre walka nie na żarty z powodu wyborów do zarządu. Partya urzędowych liberałów, grupująca się w „Dzien. Pol.”, agituje za swoimi, którzy jednak nie cieszą się sympatją ogółu członków „Koła”. Opozycja wyrobiła już sobie znaczenie i jest nadzieja, czego jej życzyć wypada, że zwycięży, wprowadziwszy do wydziału pożytecznej instytucji i więcej sił młodych i zdolnych, jak np. d-rów: Greka, Tałasiewiczza i t. d.—Lwowska rada miejska uchwaliła wypłacić skarbowi 20,000 złr., tytułem ekwiwalenty za dostarczenie gruntu pod budowę fakultetu medycznego.—Prof. politechniki Franke obchodził tutaj 20-lecie swej zawodowej działalności. — Na stały pobyt przybył do nas wielce utalentowany rzeźbiarz, p. Roman Lewandowski, pisujący fachowe krytyki w „Kurj. lw.”. Artysta wysłał na wystawę berlińską swego „Słowianina”.—Zdolny publicysta p. Golembowski zaniemógł tak niebezpiecznie, iż lekarze nie czynią już żadnych nadziei. *Lambda.*

P. S. Gr. kat. synod prowincjonalny zbierze się tutaj 20 września b. r.

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

W zeszłą sobotę po kilkodniowej chorobie zmarł w Berlinie 80-letni przywódca centrum, Windhorst. Hanowerczyk z pochodzenia, przed r. 1886 parokrotnie zajmował urząd on ministra króla Jerzego. Po przyłączeniu Hanoweru do Prus niebawem wybrano go na sejm pruski, a wkrótce potem i do parlamentu niemieckiego. Od tej chwili zaczyna się wybitna rola zmarłego polityka. Rozpoczęta przez ks. Bismarka pod hasłem cywilizacji walka z kościołem katolickim stworzyła grunt odpowiedni dla zorganizowania z różnorodnych żywiołów wielkiego stronnictwa katolickiego, przezwanego centrum. Windhorst okazał się niezwykle uzdolnionym przywódcą stronnictwa i szermierzem parlamentarnym. W znacznej części dzięki jego kierownictwu centrum zmusiło Bismarka do ustępstw, nawet układy rządu niemieckiego ze stolicą apostolską, po za plecami centrum przeprowadzone, nie złamały jego siły. W ostatnich czasach znaczenie Windhorsta podniosło się jeszcze bardziej. W nowym parlamencie dawne podpory rządu — konserwatyści i narodowo-liberalni — znaleźli się w tak małej liczbie, że Wilhelm II musiał wciąż uciekać się do poparcia centrum. Windhorst zaś umiał się targować i niczego darmo nie dawał. Ostatnim jego tryumfem było zmuszenie rządu do zwrócenia t. zw. „funduszu obrocnych” dycezyjom. Na łożu śmiertelnym doszła Windhorsta wiadomość o podaniu się do dymisji ministra oświaty i wyznań Gosslera, który stale się opierał żądaniom centrum. Śmierć Windhorsta może mieć ważne następstwa. Stronnictwo, któremu przewodził, łatwo rozpaść się może, zwłaszcza, że niema w niem człowieka również wpływowego, jak zmarły. Windhorst przeznaczał podobno na swego następcę Porscha, jest to człowiek podobno zdolny, liczy jednak zaledwie trzydzieści kilka lat, a więc uważają go za zbyt młodego na takie stanowisko. Tymczasowo zastąpią Windhorsta w parlamencie bar. Herman, w sejmie hr. Balléstem.

Pruskim ministrem oświaty na miejsce Gosslera mianowany został Zedlitz-Früscher, dotychczasowy naczelny prezes w Poznańskim. Mąż ten po ukończeniu kilku klas gimnazjalnych służył wojskowo, później spełniał funkcje administracyjne, aż wreszcie teraz przewodniczyć będzie dziełu reformy szkolnej. Przynajmniej to rzec o nim można, że rutynista nie będzie, bo o rutynie pojęcia nie ma. Następcą Zedlitzza został Willamowitz-Mollendorf. Ludność miejscowa z przyjemnością dowiedziała się, że nie objął on jednocześnie prezesostwa w komisji kolonizacyjnej, a właściwie, jakoby stanowczo objąć nie chciał. W dziennikach znajdujemy zresztą pogłoskę, że komisja ulegnie radykalnej zmianie.

W sejmie pruskim poseł Czarliński wyraził ubolewanie, że robotnikom z Królestwa pozwolono tylko na czasowy pobyt. Szmula i Scholsch popierali mówcę, przytem pierwszy dowodził, że dzięki represyjnej polityce rządu wśród ludności polskiej szerzy się propa-

ganda socjalistyczna, czego dowodem jest powstanie 2 pism w Poznaniu i Berlinie. Minister Herrfurt odpowiedział, że czasowy pobyt zupełnie jest wystarczający, natomiast zapewnił, że nowych wydań zaniechano.

Z wielką pompą przyjmował Wilhelm deputację alzaczką. Dziękował jej za lojalność i za bezpośrednie zwrócenie się do siebie. Radził uczucia te rozwijać i wzmacniać, a wówczas może ulgi paszportowe udzielić raczy.

Sensacyję w Niemczech sprawia kandydatura ks. Bismarka na posła do parlamentu z okręgu Goestemünde. Miejscowi politycy, nie umówiwszy się nawet z centralnym zarządem stronnictwa narodowo-liberalnego, kandydaturę ofiarowali i książę żelazny ją przyjął. Najciekawszym jest to, że w okręgu tym znacznymi siłami rozporządzają socjaliści, łatwo więc być może (w razie poparcia wolnomyślnych np.) że zwyciężą oni swego dawnego wroga na polu wyborczym, jak zwyciężyli go już w parlamencie.

Zbliża się termin otwarcia rady państwa w Wiedniu. Hr. Taaffe konferuje z przedstawicielami lewicy, z Hohenwartem, Clam-Martinitzem, ba nawet z ks. Liechtensteinem, a jednak stałej większości w żaden sposób ułożyć niepodobna. Plener rozpoczął układy z wielką butą, żądając zmiany całego niemal gabinetu. Polacy jednak stanowczo odmówili swego poparcia rządowi lewicy i kombinacja ta upadła. Powrót do dawnej większości niemożliwym na pozór nie był, młodocześni bowiem okazali pewną chęć układow z hr. Taaffem. Pogodzić się jednak z młodocześniacami znaczący byłoby nie tylko upokorzyć się (z tem jeszcze możnaby się pogodzić), ale zarazem ostatecznie rozdrażnić Niemców. Ostatecznie więc hr. Taaffe sprawować będzie rządu bez większości, czyli, jak to mówią, z większością wypadkową, klejoną przy każdej sposobności z różnych żywiołów.

We Włoszech ogromnego hałasu narobiła skandaliczna sprawa dyrektora policji w Massawie, Livraghiego. Oskarżony o zabójstwo 2 przywódców afrykańskich w celu grabieży zbiegł on do Szwajcaryi. Śledztwo wykazało, że wraz ze swym współnikiem Casagnim. Zajmował się on od lat paru podobnymi operacjami systematycznie. Livraghi nadesłał do dzienników włoskich list, w którym donosi, iż zgładził 800 bogatych abisyńczyków, że działał jednak z rozkazów wyższych, co gotów jest dowieść na sądzie, jeżeli zapewnioną mu będzie bezkarność osobista. Rząd zażądał od Szwajcaryi wydania zbrodniarza.

W Livorno podczas obchodu rocznicy urodzin Mazziniego doszło do krwawych starć z policją, na którą jakoby pierwszy napadli uzbrojeni anarchiści.

W Nowym Orleanie rozegrały się burzliwe sceny. Sądono tam 19 włochów, oskarżonych o zabójstwo dyrektora policji Henessy'ego. Oskarżonych uniewinniono. Na wieść o tem na ulicy zebrały się tłumy, które, zrabowawszy magazyny broni, zdobyły więzienia, dwunastu włochów zabiły, a 2 powiesiły. Jest podejrzenie, że przysięgli zostali przez włochów przekupieni. Przewódca tłumy otrzymał od włoskiego stowarzyszenia tajnego „Mafia” zawiadomienie o zapadłym nań wyroku śmierci.

Garaszanin w odpowiedzi na list hrabiego Takowy (Milana) wcale nie dwuznacznie dowodzi, że nie on, lecz „ktoś, znacznie wyżej stojący” jest winnym morderstwa 2 kobiet w więzieniu. Skandal serbski wywołał wszędzie oburzenie. Dwór wiedeński, otaczający dotąd Milana swoją przyjaźnią, zamknął przed nim swoje podwoje.

Parnell w niedawnej mowie wyraził przekonanie o konieczności zajęcia się kwestyją robotniczą i zarzucił liberałom angielskim, że pod rozmaitymi pozorami uchylają się od tego obowiązku.

Mac-Carthyści założyli federację narodową jako przeciwstawienie parnellowskiej ligi narodowej. Biskupi wyrazili im swoje uznanie.

We Francji wzmagają się ruchy przeciw protekcjonizmowi celnemu.

Sejm pruski przyjął projekt rządowy podatku od dochodu z małymi zmianami.

KRONIKA LITERACKA.

Kobiety myślące i kobiety piszące, przez *René Marceil*. Spolszczyła M. Ch. Warszawa, 1891. Nakład Gebethnera i Wolfa.

O biegu w rurach wody, nafty i ropy. Napisał *H. Merczyng* (odbitka z „Przeglądu Technicznego”). Warszawa, 1891.

Elementarne zasady ekonomii politycznej. Z niemieckiego opracował *B. S.* Warszawa, 1891.

O cudach i nowoczesnym spirytyzmie. Z 23-go wydania, przełożył *J. K. Potocki*. Warszawa, 1891. Nakład S. Lewentala.

Dwie komedye Macciusa Plautusa. Przekład *Jana Wolframa*. Warszawa, 1891. Nakład Lewentala.

Szyf. Powieść p. *Klemensa Junoszy*. Warszawa, 1891. Nakład księgarni Gebethnera i Wolfa.

Utalentowanemu autorowi poświęcimy wkrótce obszerniejsze studyum z racji wyjścia zbiorowego wydania jego powieści. Zaznaczamy więc tylko obecnie, że *Szyf* poświęcony jest opisowi kłopotów ziemiańskich.

Tajemnicze wiedz. *Emila Desbreaux*. Zeszyt 5-ty. Nakład M. Wołowskiego.

Na straconym posterunku. Dramat współczesny w 5-ciu aktach *Teodora Jeske-Chońskiego*. Warszawa, 1891. Nakładem „Niwy”.

KRONIKA POWSZECHNA.

— **Rozporządzenia rządowe**. Z polecenia władzy naukowej mają być sprawdzone kwalifikacje wszystkich nauczycieli i nauczycielek prywatnych, tak w Warszawie, jak i na prowincyi, oraz na wsi, gdzie przebywają w charakterze guwernerów i guwernantek. Osoby, które posiadają świadectwa nauczycieli elementarnych, a zajmują się wyższem kształceniem dzieci, będą od spełniania dotychczasowych obowiązków usunięte, a nadto pociągane do kar pieniężnych. — **Ministryjum oświaty** wyjaśniło kuratorom okręgów naukowych, iż osoby, posiadające patenty prywatnych nauczycielek, są obowiązane przy egzaminach aptekarskich zdawać jedynie egzamin z łaciny, chociażby w ciągu kursu gimnazjalnego nauki języków nowożytnych nie pobierały.

— **Kronika społeczna**. Włościanie wsi Olszówek pod Warszawą, wysłali kosztem zbiorowym Rocha Wilszewskiego do Brazylii, celem naocznego zbadania tamtejszych stosunków. — Uzyskane zostało pozwolenie na wyjazd radcy kom. Tow. kred. ziemskiego M. Glinki i ks. Z. Chelmieckiego do Brazylii, celem zbadania położenia i sprowadzenia do kraju pewnej liczby ofiar emigracyi z różnych okolic kraju pochodzących, aby mogli swem świadectwem odwozić innych od wychodźstwa. — Kasa wsparcia podupadłych farmaceutów, wdów i sierot po nich, miała w roku zeszłym dochodu rs. 1,759, wydatków zaś 2,030. — W Tomaszowie rawskim otwarty został szpital na 10 łóżek. — Z dniem 1 stycznia 1890 r., ludność żydowska w Warszawie wynosiła 153,066, a z końcem tegoż roku 156,431 dusz. Procent urodzeń w ciągu roku wynosił $4\frac{4}{5}\%$; procent śmiertelności około $2\frac{3}{5}\%$, procent przyrostu około $2\frac{1}{5}\%$, czyli na każde 1,000 osób urodziło się 48, zmarło 26, ostatecznie więc przybyło 22. — W roku 1890 wezwano do spełnienia obowiązkowej służby wojskowej 867,336 popisowych. Z liczby tej 457,254 nie miało żadnych ulg, 45,174 miało ulgę 1 stopnia, 175,993 — 2 stopnia i 189,812 — 3-go. W ogóle ciągnęło losy 878,011 popisowych, w tej liczbie 43,783 żydów. Przyjęto do służby 257,567, w tej liczbie 14,755 żydów. — Do ministryjum komunikacyi wniesiono projekt zastąpienia służby ruchu na kolejach przez dymisjonowanych lub zapasowych oficerów armii i marynarki. — Według procentowego przyrostu ludności rozmaite prowincyje Austrii idą po sobie w następującym porządku: Wiedeń ($21,8\%$ w ciągu ostatnich 10 lat), Austryja dolna, Bukowina, Galicyja ($10,4\%$), Dalmacyja, Istrija, Kraina, Voralberg, Szląsk ($6,5\%$), Salcburg, Styryja, Morawy, Czechy (5%), Gorycyja i Gradyska, Autryja górna i Tyrol.

— **Kronika ekonomiczna**. Kasa zaliczkowo-wkładowa rzemieślników kolei nadwiślańskiej (524 członków) miała 6 stycznia b. r. 17,845 rs., z których 10,642 rs. na pożyczkach. — Dobra „Zagórze” hr. H. von Donersmarcka (180 włók ziemi i 780 lasu) nabyte zostały przez administrację księstwa łowickiego za 2 mil. rs. — Sprawozdanie tow. „Górnictwo naftowe (dawniej hr. Kwileckiego) w Poznaniu”, wykazuje stratę 126,992 marek, czyli przeszło 25% kapitału zakładowego, powstała głównie wskutek nieznamośności przedsiębiorstwa i zawiedzionego zaufania pokładanego w pewnej galicyjskiej powadze. — Od r. 1860 do 1883 cena ziemi znacznie się podniosła, naprz. w gub. połudn.-zach. (z 42 do 100 rs., południowe stepowe (z 22 do 59 rs.), od 1883 do 1890 ceny nie wzrastają, z wyjątkiem: stepowych (do 83 rs. za dziesięcinę), półn.-zach. (do 45 rs.), połudn.-zach. (do 115 rs.). — Wywóz zboża i innych produktów z Rosyi do Niemiec w r. 1889 znacznie przewyższył r. 1888, mianowicie: pszenicy — o 6% , żyta — 50% , owsa — 250% , drzewa budulcowego — 100% , dalej idąc masło, nafta i t. p. Natomiast przywóz towarów z Niemiec znacznie się zmniejszył. — W gub. podolskiej funkcjonuje 88 gorzel-

ni z produkcją roczną 115 milij. stopni, z których 100 spożywa się na miejscu. — Kijowskie tow. rolnicze wydelegowało komisję do opracowania projektu obniżenia procentu od długoterminowego kredytu dla własności ziemskiej. Delegacja powyższa jest w związku z agitacją przeciwko działalności kijowskiego banku kredytu ziemskiego. — Obciążenie własności ziemskiej i miejskiej w państwie przy zmianie listów metallicznych na kredytowe dociągnie sumy 1,500 milij. rs., z których miliard obciąża ziemię, zaś 500 milionów — nieruchomości miejskie. — Na jesieni r. b. odbędzie się zjazd młynarzy w Moskwie. Program zjazdu jest nader obszerny. — Na 862 tysiące tonn ogólnej produkcji kawy 490 przypada na Brazyliję. Dalej idzie Meksyk 80, Jawa i Sumatra 60, Haiti i St. Domingo 43, Cuba i Porto-Rico 35, Afryka wschodnia 35, Indyje 21 i t. d. Co do konsumcyi to Europa (stały ląd) sama konsumuje 430,000 tonn kawy, Stany Zjednoczone i Kanada 265,000, Azycja 40,000, Brazylija i cała Ameryka południowa 41,500, Meksyk i Ameryka środkowa 35,000, Afryka 25,000, Wielka Brytania i Irlandyja 14,600, Australija 5,000. Razem 856,000 tonn kawy.

— **Szkoły i oświata**. Władza naukowa zwróciła uwagę na fakt, że w powiatach gubernii grodzieńskiej, przylegających do gubernij suwalskiej, łomżyńskiej i siedleckiej, wiele rodziców oddaje swe dzieci do szkół tych gubernij dla tego tylko, że w nich wykłada się język polski. Przeciw temu mają być przedsięwzięte odpowiednie środki, jak również przeciw rozpowszechnieniu w kraju szkół potajemnych. — Szkoła górnicza w Dąbrowie posiada obecnie dwie klasy, z których każda liczy po 30 uczniów. Do wykładu języka polskiego w szkole, na żądanie jej zwierzchnika, powołano inż. Stanisława Kontkiewicza, dyrektora kopalni węgla „Flora”. — Okręg naukowy warszawski wydał patenta: domowych nauczycielek 13-u kobietom, początkowych — 7-miu i dom. naucz. języka franc. jednej. — Egzamin na pomocników aptekarskich złożyło w Warszawie 52 farmaceutów, z których 9 z odznaczeniem. — Będzie otwarta w okolicach Petersburga szkoła rybołówstwa dla dzieci włościańskich. — Ogłoszony został rozkaz o przemianowaniu szkoły morskiej w Petersburgu na morski korpus kadetcki. — W roku przyszłym upływa lat 300 od dnia urodzin Jana Amosa Komeńskiego, znakomitego filologa swojego czasu, ale przedewszystkiem słynnego pedagoga, który pierwszy wskazał ważność i zasady nauki pogładowej, i w ogóle był zwiastunem nowej ery w sposobach wychowywania. Dzieła jego tłumaczono nie tylko na języki europejskie, lecz i na azjatyckie. Obecnie tworzy się „Towarzystwo Komeńskiego” w Berlinie, które na obchód jubileuszowy wyda dzieła i listy znakomitego czecha.

— **Literatura i sztuka**. Na posiedzeniu słowiańskiego tow. dobrocz. p. Horodekij miał wykład o ruskich sympatyjach w poezyi polskiej i o A. E. Odyńcu, który „piastował względem ruskich uczucia miłości i sympatyj”. Lektor przytoczył na okaz „Powitanie Cesarza Aleksandra II z powodu uwolnienia włościan” i odę do pewnej rnskiej damy w Wilnie. Oprócz tego zostały przeczytane niektóre przekłady polskie ze słowiańskiego i ruskiego. — Tow. przyjaciół sztuk pięknych w Krakowie rozlosowało 115 dzieł sztuki na sumę 12,533 guld. Członków liczy tow. 5,943. Na wystawę w Berlinie przygotowano przeszło 100 dzieł sztuki. — W Petersburgu wychodzi 194 czasopism, w Moskwie 80, w Warszawie 72 (65 polskich, 6 ruskich i 1 hebrajskie). Ogółem w Rosyi wychodzi 705 czasopism, z których 170 urzędowych. — „Gazeta Sądowa” ogłasza konkurs, przeznaczając 25 rub. za najlepszy artykuł z prawa karnego (oprócz zwykłego honoraryjum). — „Kronika Prawnicza” wychodząca pod kierunkiem prof. Kasparka, zamieściła sprawozdanie „z życia krajowych towarzystw prawniczych w roku 1890”. — Z zakresu literatury prawnej ukazały się świeżo dwa dzieła: „Robotniczo ustawy austriackie”, zestawione i objaśnione przez Koczyńskiego, oraz „Studyja nad procesem karnym”. (I. Proces adhezyjny, II. Kwestyje pomniejsze) przez dra. Stebelskiego. — Dr. Kallenbach z autografu wydał i wstępem poprzedził „Pamiętnik Jana Golliusza mieszczanina polskiego (1650—1953). Tenże uczyony, zajmujący katedrę w uniwersytecie fryburskim w Szwajcaryi, ogłosił tam następujące wykłady: „La litterature polonaise sous le regne de Sigismund III i Die polnische Lyrik in der Hälfte des XIX Jahrhunderts. — B. Kotula wydał ceną pracę p. t.: „Rozmieszczenie roślin naczylnych w Tatracach”. Korzeniowski wydał „Excerpta ex libris manuscriptis archivi consistorialis Romani MCDLX—MDXC”. (Wyjątki z rękopisów archiwum konsystorskiego rzymskiego 1409—1590). — Świeżo wyszły „Kra-kowskie tablice Syzygijów na r. 1379 i 1380”, przyczynek do dziejów astronomii w Polsce XIV w., przez Birkenmajera. — Dr. H. Kadyi ogłosił we Lwowie dziełko p. t.: „O potrzebie zasadniczej reformy studyjów weterynaryi”. — W Kijowie wyszły z druku „Tablice” dla użytku chemików przy cukrowniach, zawierające obliczone

ilości cukru, niesukru i współczynnika czystości soków burakowych o gęstości od 8 do 21 Brix, przez J. Słaskiego i F. Wasilewskiego. — Jarosław Vrchlicky napisał w czasopiśmie „Złota Praha“ wiersz p. t. „Niobe“, ofiarowany Maryi Konopnickiej. — W. Miller (syn), autor nagrodzonego na konkursie Towarzystwa muzycznego libreta p. t. „Mary“, napisał świeżo dwa jeszcze inne libreta do oper (niekomicznych). — Korporacja lotewska „Lettonia“ opracowuje encyklopedyję lotewską p. t. „Latweeschu tauta“—Lud lotewski. — Istnieje projekt urządzenia gubernjalnych archiwów historycznych i takichże muzeów. — Oprócz wyszłych już w Paryżu pamiętników Talleyranda, zapowiedziane są pamiętniki Barrasa, członka konwentu; ks. M. Fleury (drugie cesarstwo, i hrabiny de la Pagerie; ks. Decazes, ministra Ludwika XVIII.

— **Reumatyzm.** Lekarze francuzcy Bertin i Pieg (Nantes) leczą suchoty za pomocą wstrzykiwań krwi koziej (10—15 grm. co 2 tygodnie). Rezultaty dość pomyślne. — Doświadczenia czynione ze środkiem prof. Liebreicha, wykazały skuteczność jego także w wypadkach błonicy (dysterytu). — Narkiewicz Jodko pracuje nad przesyłaniem dźwięków na odległość za pomocą izolowanych (bez przewodów) telefonów. Przy niewielkich odległościach próby udają się. — K. Rabot znalazł dyjamenty w piaskach Laponji. Kamienie to jednak są mikroskopijne. Takie same pokłady piaskowe znalazł Rabot w Indiach wschodnich. — Pewien inżynier odnalazł w Egipcie miejsce, w którym według słów Herodota znajdowało się jezioro 660 kilometrów obwodu i 80 m. głębokie. Łączyło się ono z Nilem kanałem, który zamierzają przywrócić. — W Filadelfii 14 dam wystosowały gwałtowny protest do dyrektorów miejscowej szkoły sztuk pięknych, przeciw wystawianiu obrazów z nagimi ciałami.

— **Nekrologija.** Ludwik Windhorst (ur. 1812 r.

z rodziców włościan, w 1849 członek drugiej izby hanowerskiej, od 1851 do 1853 minister sprawiedliwości. Od 1867 poseł sejmu pruskiego i (od 1870 r.) parlamentu niemieckiego) um. w Berlinie. — T. Banville, dramaturg i powieściopisarz franc., zm. w Paryżu. — Mutkurov, b. minister wojny w Bułgarii, zm. w Neapolu. — Ks. Hieronim Napoleon, um. w Rzymie. — General Camponon, b. minister wojny, um. w Paryżu.

Odpowiedzi od Redakcyi i Administracyi.

Pol. Czyt. Akad. w Akwizgranie. Rs. 5 i kop. 75 odebraliśmy, z tych 3 rs. 50 kop. przestaliśmy redakcyi „Przeglądu Tygodniowego“.

P. Siem. Stan. w Petersb. Żądane numera „Głosu“ wysłaliśmy.

P. Arcim. w Pol. Woj. Żadaną książkę „Wychowanie i dziedziczność“ M. Gugau wysłaliśmy. Cena jej 1 rs. 35 kop., przesyłka 25 kop. Otrzymałmy 2 rs., pozostaje do rozporządzenia pańskiego 40 kop.

P. Sulkiw. w Wład. Książki żądane wysłaliśmy. Rachunek jest taki: 2 egz. „W r. 2000“ 1 rs. 20 kop., 2 egz. „Elementarza“ Reussnera 50 kop., „Metoda niemiecka“ tegoż 60 kop., „Hist. Polski“ Dmochowskiego 60 kop., 2 egz. „O suchotach“ 5 kop., I i II zes. „Instyt. polit.“ 1 rs. 5 kop. (cena zwykła I zes. 80 kop., II—60 kop.), przesyłka 40 kop.; razem 4 rs. 40 kop. Resztę—2 rs. zapisałmy na „Głos“ w kw. II.

P. Krusz. lek. weter. „Inst. polit.“ 2 pierwsze zes. wysłaliśmy; cena ich 1 rs. 5 kop., przesyłka 12 kop., pozostaje więc 83 kop. do rozporządzenia pańskiego.

P. Niewiad. w Petersb. Nr. 5 „Głosu“ zaginiony wysłaliśmy.

P. M. Okulicz w Petersb. Takiej szkoły dotychczas niema. Kobiety nie mają prawa uczęszczać na wykłady do uniwersytetu, mogą natomiast zdawać egzamina na stopnie: prowizora, pomocnika i t. p. Kobiety są przyjmowane, o ile nam wiadomo, do jednej tylko apteki w Warszawie (ul. Twarda.)

Zalecamy następujące książki pedagoga Plato v. Reussnera: **Powiatki Polsko-Niemieckie**, wydanie II, z 3-ma tabliczkami rycin, obejmujących 48 obrazków. Treść powiastek tych bardzo zajmująca, przeto mogą służyć nietylko do nauki języka niemieckiego, ale także i dla rozrywki przy czytaniu dla tych, co się nie uczą po niemiecku. Cena kop. 20. **Elementarz Polski**, wydanie III, z obfitymi (20 do 40) wzorkami pisma, z obrazkami i wzorkami rysunków razem 340 figur,—opracowany według najnowszej metody ulepszonej, opartej na doświadczeniach pierwszych powag pedagogicznych europejskich. Na nim można nauczyć w 2 do 6 tygodni czytać, pisać, rachować i rysować. Cena w oprawie 25 kop., bez obrazków 20 kop.—**Elementarz Polsko-Niemiecki**, wydanie II, z 14 wzorkami pisma i 200 obrazkami, z objaśnieniem wymowy, na którym można nauczyć w 1 do 2 miesięcy czytać, pisać i rozmawiać, nawet bez nauczyciela. Cena kop. 35, 15 i 7½. Do nabycia w księgarniach i u autora (P. v. Reussnera) ul. Marszałkowska 142 w Warszawie.

OGŁOSZENIA GŁOSU.

CZYTELNIA NAUKOWA

posiada 80 czasopism przeważnie naukowych, pedagogicznych, filozoficznych, społeczno-ekonomicznych i pedagogicznych w językach: polskim, ruskim, francuzkim, niemieckim i angielskim.

Otwarta codziennie od god. 10 rano do 10 wieczór.

W niedziele i święta od 11 r. do 3 p. p.

Adres: Nowy-Swiat Nr. 34 m. 4.

INTROLIGATORNIA

Władysława Wiśniewskiego przyjmuje wszelkie roboty w zakresie introligatorstwa wchodzące.

Ceny broszurek suitono.

FABRYKA PUDEŁEK

Maryi Wiśniewskiej

podjekuje się większych i stałych dostaw pudełek.

Marszałkowska N. 114 róg Złotej N. 9.

8—7

DOSTAWCA DWORU

Cesarsko - Austriacko - Węgierskiego.



EXSICCATOR.

Niszczy grzybek drzewny i osusza wilgoć raz na zawsze i t. p.

Broszurkę, niezbędną dla każdego budującego wyśleam franco i bezpłatnie.

Wyn. Inż. Tech. G. RITTER
Królewska Nr. 39.

DIWANY wszelkie pokrycia meblowe, Kołdry, Serwety, najlepiej kupować w głównym składzie **Gietzińskiego**, Marszałkowska 137.

Adres: ulica Niecała
Nr. 12.

Cena całego dzieła, Cena zeszytu
opłacona z góry 7 rs. 15 kop.

Encyklopedia
Encyklopedia
Encyklopedia
E. H.
Humoru
Humoru
Humoru

Cena tomu opłaconego z góry 2 rs. Wychodzi mniej więcej w odstępach tygodni.

Wyszedł z druku zeszyt XXXVIII.



**ZAKŁAD OPTYCZNO-CHIRURGICZNY
JULJANA DREHERA
Szpitalna Nr. 6.**

Poleca: Pince-nes, Okulary, Lornetki, teatralne, z pierwszorzędných fabryk w najnowszych fasonach, Barometry, Termometry, Woreczki higieniczne, zabezpieczające i skład środków opatrunkowych, oraz wszelkie wyroby optyczne, po cenach bardzo niskich. Przyjmują się reperacje.

Sprzedaż hurtowa Nafty

Najwyżej Zatwierdzonego Towarzystwa

BRACI NOBEL

Książęca 4

róg Nowego Świata

Kantor

WARSZAWA

Książęca 4

róg Nowego Świata

Kantor

Mając stosunki z pierwszorzędnym źródłem, mam zaszczyt podać do wiadomości, iż najlepszą naftę Kaukaską, Olej lniany, Oleje mineralne i Smary, sprzedaję beczkami po cenach targowych.

Ekspedycja do wszystkich punktów kraju.

Odstawa natychmiastowa.

Obstalunki przyjmują się pod wyż wskazany adres.

JEDYNY SRODEK!

Dla uniknięcia kataru, przeziębienia, a często i smutnych następstw z przyczyny przemoczenia nóg jest

OBUWIE NIEPRZEMAKALNE

wyrabia je pracownia

Hipolita Oleszyńskiego

nagrodzona medalem srebrnym.

Nowy Swiat 17 (róg Alei).

SZKICE FOTOGRAFICZNE

z
„Zakutego-Gródu”

przez

Kazimierza Glińskiego

(Dalszy ciąg).

Gdy co opowiadał, w ruchach był cały: przysiadł, odskakiwał, dopełniając słowo każde gestykulacją rąk i mimiką twarzy. Wzrostu średniego. chudy, o policzkach zapadłych, zamiast zarostu, gdzie-niegdzie tylko krzaczkę siwiejących włosów siedziały; brwi zawsze podniesione miał, oczy jakiegoś kociego koloru, ruchliwe, niespokojne, jak pieprz małe — za to uszy potężne sterczały po obu stronach głowy, a że ta ostrzyżoną była przy skórze samej, wielkość tych uszów niezwykłą się zdawała. Posiadał też dziwną zdolność poruszania niemi i tą sztuką bawił dzieciaki, za co mamy nieskończenie wdzięczne mu były, bo w czasie towarzyskich zebrań pociechy im nie dokuczały, lecz obsiadały Kajcia, śmiejąc się i targając go za słuchy. Gdy jakiś mazgaj rozkaprysił się, a Kajcia nie było, posyłano wnet po niego: zjawiał się natychmiast i strzygł uszami na zawołanie.

Jakowicz był niegdyś obywatelem ziemskim, ale majątek przeświatał; nie narzekał jednak na losy, bo umiał się ludziom zasłużyć powyższymi zaletami. Zaopatrywano więc go we wszystko — i tak, ani siejąc, ani orząc, miał bardzo przyzwoite utrzymanie. Rozłożył podatek na pewne kółko towarzyskie i skrupulatnie, wznaczonym przez siebie terminie, należność swoją wybierał. Nieakuratności nie lubił i w razie opieszalej wypłaty groził odkryciem przed współobywatelami kompromitującej tajemnicy. A że to ludzie nie zawsze bez grzechu bywają, więc kto wie, czy czasem o tem lub owem Jakowicz się nie dowiedział? Na co wywoływać wilka z lasu?... Rozpoczęły się pertraktacje. Jakowicz zżymał się, groził, wreszcie naznaczał ostateczny termin — i wszystko szło dobrze. Wolano go mieć za sobą niż przeciw, bo Kajcio był kroniką chodzącą, każdego metrykę znał doskonale (co było obawą pań) — wiedział, kto kogo rodzi, czem się kto pieczętuje, posiadał sekreta wszystkich i niejednego mógłby w jaką kabałę wprowadzić. Mężczyźni zwali go Kajciem, panie — brylantem. Dla doktora Rabatyńskiego był z prawdziwym zachwytem, bo ten go brzydkiego lizsaja na uchu pozbawił, nie każąc się głowie skołtunić.

Zaledwie goście zbrali się w salonach pana Aleksandra, Kajcio obiegł wszystkie pokoje, wpadł do kuchni, zajrzał do garderoby i kilka nowinek ulowił.

W liczmem tem gronie znajdowała się Dosia Troińska, młoda i śliczna mężatka, z nią razem przybyła Zosia Olska, rówieśniczka Józki, wesola, śmiejąca się dziewczyna, z oczami ciemno-lazurowymi, o włosach jasnych jak len. Przepysznie odbijały te oczy ciemne, duże od płci przezroczyście-białej i włosów lnianych z lekkim odbłyśkiem złota. Jakowicz z zachwytem patrzył na te obie „niewiastki” i co chwila powtarzał:

— Świętości moje, świętości moje.

O godzinie dziewiątej wypito herbatę pół-gębkiem — o dziesiątej przybył ksiądz Anioł.

Wchodzącego kapłana powitało towarzystwo całe, nie wyłączając mężczyzn, powstaniem i ucałowaniem ręki, której nie bronili; tylko, gdy usta Zosi złożyły się do pocałunku, ksiądz w stosownej chwili usunął dłoń lekko, tak, że panią pustą pocałowała powietrze. Zauważyła Zosia ten ruch i spojrzała zdziwiona w twarz księdza Anioła...

Spojrzenia ich spotkały się.

Zosia pierwsza spuściła oczy.

Mimo tłoku zauważyły panie, że jedna tylko Dosia Troińska powitała księdza zwyczajnym uściśnięciem ręki.

To się niepodobało.

Dosia zgorszenie siała.

— Księżo Aniele! prosimy do nas, do nas!... — odezwały się głosy wdów i mężatek.

— Jakie piękne ksiądz imię nosi! — podnosząc oczy ku niebu — odezwała się pani Wytykałska. — Powtarzałabym je bez końca... bez końca...

— Nie jam je wybrał — odpowiedział ksiądz Anioł. — Imię to nie jest właściwe dla ludzi.

— Ale ojciec kapłan jesteś — odezwały się panie.

— Nie przestałem prze to być człowiekiem — odpowiedział ksiądz Anioł.

— Wielkie słowa! święte słowa!... — tu i owdzie zabrzmiało. Jakowicz przypadł do ręki księdza; panie z zachwytem patrzyły na te religijności oznaki.

Przez usta księdza lekki przeleciał uśmiech.

— Ależ panowie i panie! — zaczął głosem poważnym — ani wielkości, ani świętości żadnej w nich niema. Mówiąc to, chciałem powiedzieć tylko, że jestem, jak każdy z was, pełen win i błędów.

— O-o...! — zaprotestowano.

— Jak oni mnie męczą! — szepnął w duchu ksiądz Anioł.

Ale się wyrwać nie było sposobu. Kobiety otoczyły go ściśniętym kołem i prześcigały się w pochwałach. Ksiądz siedział po środku, jak bożek chiński otoczony czołobitnikami.

Na drugim końcu salonu zebrało się niewielkie gronko panien i młodych mężatek, gdzie rej wodziły Dosia i Zosia. Do nich przysunął się i pan Agapit Pistroński, malutki, chudziutki, z podwójnym garbem, który piersi jego wydał, a plecy ku ramionom podniósł; choć pięćdziesiątki już sięgał, był kawalerem do wzięcia i posiadaczem dwupiętrowej kamienicy. Pan Agapit grał prześlicznie na flecie i był bezwzględny czcicielem Kraszewskiego. Kraszewski był dla niego alfą i omegą piśmiennictwa — po za nim nie istniało nic, coby jakakolwiek bądź wartość miało. Każdą rozmowę zaczynał od wielkiego autora. Podchodził, siadał, kręcił małą główką o włosach rudych i przystrzyżonych bokobrodach, cmokał, wreszcie zaczynał:

— A co, panie... Kraszewski?...

Podnosił brwi, ramiona, kręcił głową i wliczał tytuły dzieł nieśmiertelnego pisarza.

— *Noc majowa*, panie, ajaj!... a *Sąsiedzi*?... *fiu-fiu!*, *Jas-ka*... strach! a *Stara baśń*?... *pi-pi!*...

Kiwał głową i szedł dalej, by w ten sam sposób rozmowę o Kraszewskim rozpocząć.

Właśnie zbliżał się do tego drugiego kółka, gdy uprzedzając go, Dosia wskazała mu miejsce obok siebie i odezwała się:

— A co, panie... Kraszewski?

— *Pi-pi!* — odpowiedział pan Agapit, i nie zważając na serdeczny śmiech panienek, za-

czął mrugać i rzecz swoją w wiadomy sposób prowadzić.

Aniołek Józeczka nie należała do tego grona. Z większą częścią swoich rówieśniczek nie opuszczała pań starszych, bawiących księdza, który, wysłuchawszy całej litanii pochwał, po raz tysięczny słuchać jeszcze musiał wyrzekania na Włochy, nieoddające władzy święckiej Ojcu świętemu. Jakowicz pioruny ciaskał i radził, ażeby na koniec Zakuty-Gród energiczny protest wysłał do władcy Italii.

— Zapomnijmy o sobie, brońmy Rzymu! Nieprawda, ojcze święty? — wołał przypadając do kolan księdza.

Wargi księdza zadrgały; milczał chwilę, wreszcie poradził panu Kajetanowi, ażeby zredagował memorandum.

— Pisz! pisz! — odezwały się mężatki, wdowy i niewiasty niewiadomego stanu... Pisz — brylancie!

— Świętości moje, świętości moje — spróbuję, jeżeli mi ksiądz Anioł dopomoże.

Ale ksiądz Anioł nie myślał o pomaganiu Jakowiczowi — wzrok miał utkwiony w one gronko niewielkie, gdzie rej wodziły Dosia i Zosia.

Do rozbawionego tego kółka należał i pan Henryk, mąż Dosi. Uśmiechnięty, patrzył w twarz ukochanej żony, zachwycony jej ślicznymi ruchami i głosem srebrzystym. Młode to było a kochające się małżeństwo: nic nie zmąciło dotąd szczęścia tych dwojga ludzi.

W salonie było gwarno. Zmieszany dźwięk rozmowy, wybuchy śmiechu, nagły okrzyk podskakującego Jakowicza, menuetowe Pistrońskiego: *a co panie — Kraszewski?*... tworzyły gwar szczególny, który by można było przyrównać do jakiegoś *potpourri* muzycznego, złożonego z dysonansów samych i źle powiązanych akordów, granego na kilku naraz fortepianach przy niemilościernie naciśniętych pedałach. Śmiech tylko Dosi i Zosi brzmiał czystymi tercjami w odstępach pewnych. Rozmowa się plotła, snuła szybko jak nie pajęczka; chmurzył się jedno pan Sadłowski, po tłustym się macał brzuchu i co chwila do jadalnego pokoju zazierał. Ale tam było cicho i gospodarz domu rzadko się pojawiał. Wpadał jak bomba, powitał tego a tego, rzucił jakimś dowcipem, na który najsrebrzyściej odpowiadał śmiech Dosi — i przez jadalnię do dalszych gdzieś wybiegał komnat, a za nim płynął szept Sadłowskiego:

— Olesiu, śpiesz się!

Zapalono światła, serca gości szybciej zażyły.

Z zaproszonych nie brakło nikogo; kilku nawet mężczyzn zupełnie nieznanymi doktorowi pojawiło się na sali, ale tych Sadłowski na usilne ich prośby wprowadził.

Tłok był ogromny, podzielone towarzystwo na kółka właściwą sobie prowadziło rozmowę. Poważne matrony obgadywały bliźnich, wdowy i niewiadomego stanu niewiasty nie dawały spokoju księdzu Aniołowi, mężczyźni krytykowali politykę angielskiego gabinetu, Pistroński podsuwał się z Kraszewskim, Jakowicz potakiwał wszystkim i na zdania wszystkich się zgadzał, Zosia zaś opowiadała towarzyszkom o cudownym krzaczku róż paljowych, które sama wyhodowała, a jako okaz, jedną z nich, w pełni wdzięków, z półrozwinętym pączkiem, na lewem miała ramieniu.

— Prześliczna! prześliczna!... — mówiła Dosia Troińska, nachylając się do stulistnej róży; ruchem nieznacznym odpięła kwiat z ramienia Zosi, i parszcząc śmiechem zerwała się nagle z siedzenia.

Kwiat paljowy znajdował się już w jej warkoczach.

— Zdradzę!—szepnął Henryk, nachylając się do ucha żony.

— Jak tylko wydasz, to...

Coś odszepnęła.

— Oho!—zaśmiał się mąż...

Chciał pocałować, ale ta, śmiejąc się wysłiznęła się jak wąż z ramion jego i, przebiegłszy salon, zatrzymała się koło pań bawiących kiedza.

Dosia nie bardzo była lubiana, przez pięć piękną oczywiście—za to pięć brzydka paliła przed nią uwielbień kadzidla. Znieść tego, co zresztą jest rzeczą bardzo naturalną, nie mogły wdowy i niewiasty niewiadomego stanu. Jakokowicz jednak, jakkolwiek wiedział o tej nienawiści pań sobie oddanych, wzdychał jednak po cichu do pięknej Dosi i po nocach rymy do niej układał. Były to jakieś „pieśni nad pieśniami” erotyczne okrutnie — brylant więc nie popisywał się z niemi przed nikim. Jeżeli wiersz jaki, który za arcydzieło uważał, chciał przed zgromadzeniem stosownem odczytać—zapowiadał, że to był hymn do Matki Boskiej, skrojony według wzoru pieśni Salomonowej. Władanie rymami jak: waga—odwaga, biel—topiel, rys—tyś—otaczało go nimbem i podnosiło w oczach ogółu. Pomimo jednak tej tkliwej miłości do Dosi Troińskiej, nie miał odwagi wypowiedzieć się przed nią ze swojem uczuciami, które w bezmiar rosły. Bał się po części i pana Henryka... ba! gdyby nie ten strach?... Czekał więc chwili stosownej i strzygł długimi uszami, którym kazał nasłuchiwać bicia serca uroczej Sulamitki. A serce Dosi biło spokojnie, cicho, oddane całe mężowi. Że zaś kręcił się koło niej rój młodzieży, podtusiwały nawet—w tem była winną o tyle, o ile róża jest winną, że barwą, wonią i urokiem ślicznego kielicha nęci bezwiednie trzpiotliwy świat motyli, kaśliwe muchy i snujące się zdradziecką—pajaki. Przyjaciółek nie miała—jedna tylko Zosia Olska posiadała jej całe serce i wzajemnością płaciła. Więc — gdy, wykradłszy różę swej przyjaciółce, podeszła do pań, te zobaczywszy kwiat Zosi w jej warkoczach, trąciły się zaraz nieznacznie łokciami.

— Nie dosyć jej ozdób, któremi się do przesady wystroiła—szepnęła pani Adela—jeszcze i różę wyprosiła u Zosi.

— Przynęta—odmruknęła Honorata—a może nawet coś... brzydszego!

Wzruszono ramionami.

— Świętości moje!—zawołał brylant...

Podniósł się, przysiadł i ucałował rękę Dosi, opuszczoną do kolan.

Nie zgorszyły się panie, bo każdy postępek Jakokowicza był nacechowany głęboką myślą. Według ich mniemania był to pocałunek Judasza, a rade były tego niewieściego Chrystusa na krzyżu zobaczyć.

Gdy tak panie zabawiały się kosztem drugich, poważni ojcowie rodzin zmieniali całą kartę Europy, a młodzież, owe filary społeczeństwa, zajęta była rozstrzyganiem ważnych spraw chwili bieżącej.

— Panowie!—mówił Zgurski, poruszając rytmicznie wskazującym palcem. Jeżeli ja inwituję jaki kolor, partner mój w ten sam odpowiedzieć mi obowiązany. Oto jest główna zasada winta.

— A jeżeli tego koloru brak zupełnie — to co?—odezwał się pan Heljodor Pikorski.

— Wygrywać swój, ale nigdy przeciwnika, który jest na ostatniem ręku.

— Kiedy ja żadnego koloru nie miałem—klnę się na honor, że nie miałem. Pan kupowałeś raz, ja pas—pan idziesz do dwóch, ja pas — pan trzy podnosisz, ja pas!... Skurczyłeś się pan jak węgorz octem polany — ja zawsze pas!

— W takim razie atutować, wówczas za rezultat pan nie odpowiadasz.

— Atutować! atutować!... — wołał pan Heljodor — kiedy ja żadnego atutka nie miałem...

— A cóż pan miałeś, do licha? — burknął Zgurski.

— W pikach—młódki, w treflach — młódki, w kierach — młódki, a pan rzniez trzy kara. Co robić miałem?

— Atutować!—wrzasnął Zgurski.

— Łbem chyba własnym — pisał zaperzony pan Heljodor.

— Atutować, nie zważając na nic!—grzmiał Zgurski.

— Ale czem?

— Choćby dwójką.

— Kiedy u mnie nawet dwójki nie było!

— A—tu—to—wać!

— Boże święty!—wołał pan Heljodor—zstap tu i zadecyduj!...

— I pan Bóg mnie nie przekona, kiedy rzecz idzie o winta.

— Atutować! — jęczał Pikorski... Dało mi się raz to atutowanie we znaki! Onegdaj, jakem u Roniszewicza zaatutował od trzeciej damy, to wielkiego szlema dostałem.

— A któż panu winien, że od trzeciej damy atutowałeś, kiedy to był przeciwnika kolor? Tak grają tylko fujary...

— Panie!

— Nowicyjusze, chciałem powiedzieć, którzy raz pierwszy karty do rąk wzięli, nie ludzie, którzy strawili nad niemi noc nie jedną. Zasada moja jest: jeżeli inwituję, odpowiadać w mój kolor.

— Wygrywać nasamprzód swój — piszczał pan Heljodor... Oto moja zasada!

— Bardzo głupia!

— Panie!

— Bardzo głupia—powtarzam!

— Pan mnie obrażasz!

— Przekonanie nie jest obrażą.

— Czy to pan mówisz na seryjo?

— Najzupełniej!

— Masz pan szczęście, bo żartówbym takich nie zniósł.

— Panowie! — odezwał się głos trzeci — ja trzymam się Dubczewskiego: puszczaj syngieltona, oczyszczaj sobie pole, by potem małemi atutkami walić.

— Ale mój panie! Dubczewski nie jest żadnym autorytetem.

— Co? Dubczewski nie jest autorytetem!

— Gra jak fujara!

— Dubczewski gra jak fujara?... Pierwszy winciarz na całą gubernię — chluba nasza?... Ależ to zbrodnia mówić coś podobnego! On, który jak z rogu obfitości szlemami sypie?... Chyba pan nie masz wyobrażenia o...

— Ja nie mam wyobrażenia—huknął Zgurski—ja?!... Mój panie!—ćwierć wieku strawiłem nad wintem, w kołysce będąc, już asy różniałem wyśmienicie, a tak mu duszą i ciałem oddany byłem, że gdy raz pierwszy objawiłem: „szlem wielki”!... mając cztery atuty tylko, czte-ry a—tu—ty! nie zauważyłem, jak żona moja w tej właśnie chwili z Przygodzińskim uciekła. I ja — nie mam wyobrażenia o szlemie!

Spór przybierał groźne rozmiary, jedni trzymali stronę Zgurskiego—inni Dubczewskiego, tymczasem gracze przyskakiwali do siebie, grożąc wzajemnie. Skończyłoby się może na jakiejś nieprzyzwoitości, ale nagle, z przyległego pokoju, szeroko drzwi się otwały, w których stanął Ratatyński i zawołał:

— Panowie i panie — kolacyja!

Głosem takim nie krzyknął Archimedes: eureka!

Na to wezwanie ruszono tłumnie do drzwi stojących otworem. Sadłowski parł się naprzód, potęrał sąsiadów, nadeptywał treny pań i mówił: „przepraszam!” sunął dalej, druzgocząc wszystko, co mu na drodze stawało. Wywrócił etazerkę z porcelaną, rozplątał zawieszoną u drzwi kotarę, wreszcie potężną stopą swoją przygniótł kota, który okrutnym miaukiem napełnił powietrze. Żydzi, wchodząc do ziemi obiecanej, nie robili podobnego rejwachu.

Radośna nowina tak podziałała na wszystkich, że zapomniano na chwilę o księdzu Aniele, który, zamiast iść za falą głów ludzkich, przystawał, cofał się, aż wreszcie, uwolniony od wszelkiej asystencji, dobył chustki i otarł czoło potem zroszone. W drzwiach, za nimi i przed nimi panował szum, gwar—czasem tylko słyhać było głos Sadłowskiego, jęk przyduszonej niewiasty i krótkobrzmiące: „przepraszam!”

Wtłoczono się wreszcie—ksiądz Anioł pozostał sam.

Nie.

Zjawiła się Zosia przy nim.

— Zapomniano o księdzu — zawołała z radosnym uśmiechem na ustach.

— To dobrze—to dobrze, panno Zofijo!—odpowiedział ksiądz Anioł. Obowiązkiem moim jest pamiętać o ludziach—o mnie... mniejsza!—Ale—pani zgubiłaś paljową różę.

Zosia sięgnęła ręką do ramienia.

— O biedny mój kwiatku — szepnęła. Nie żałowałabym cię, gdybyś się tylko do rąk przyjaznych dostał.

— Kwiat ten piękny!—rzekł ksiądz... Wychowany przez panią, oddechem jej ust ogrzany; tyle pani musiała spojrzeń na niego rzucić... Szkoda, by go zdeptano!

Głos księdza był dziwnie miękki i tkliwy, drżał jakąś nutą rzewną i smutną niewymownie. Zosia spuściła oczy do ziemi i różowemi paluszkami muskała płową koronkę stannika.

— Zatrzymuję księdza — rzekła przyciszonym głosem — a tam bez niego wieczery nie zaczna.

— A... chodźmy!—szepnął ksiądz Anioł.

— Do nas! do nas—odezwały się głosy wdów i mężatek do wchodzącego księdza.

Ksiądz Anioł usiadł na wskazanem miejscu z widocznym zmęczeniem. Na przeciw siedziała Dosia Troińska, która spojrzawszy w twarz niechętnie siadającego księdza między panią Adelą, a Honoratą Tryńską, niewiastą niewiadomego stanu — uśmiechnęła się nieznacznie, lecz uśmiech ten dostrzegł ksiądz Anioł i odpowiedział podobnym. Pani Honorata wpatrzyła się w księdza jak gęś, gdy ją coś niezwykłego zastanowi, zatrzymuje się i skrzyżwszy nieco głowę na lewo, zezem patrzy.

(D. c. n.).